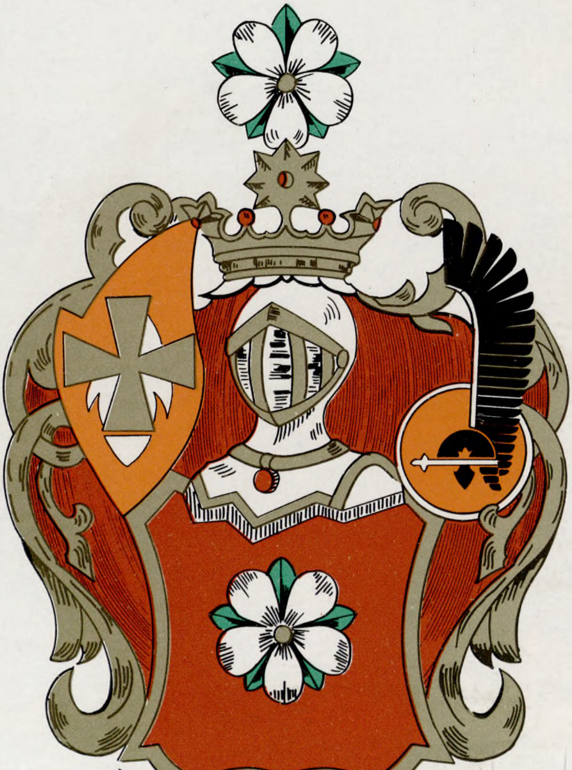


EX LIBRIS

LODA and EDWARD C. ROZANSKI


J. KADEN-BANDROWSKI
MIASTO MOJEJ MATKI

JULJUSZA KADEN-BANDROWSKIEGO

Niezguła, powieść, Lwów 1911, wyczerpane
Zawody, nowele, wyd. II, Warszawa 1922
Proch, powieść, wyd. II, Warszawa 1921
Zbytki, nowele, Kraków, 1914, wyczerpane
Piłsudczycy, wyd. II, Warszawa 1921
Iskry, Wiedeń 1915
Bitwa pod Konarami, Wiedeń 1915
Mogiły, wyd. II, Lublin 1916, wyczerpane
Spotkanie, nowele, Warszawa 1917. wyczerpane
Łuk, powieść, Warszawa 1919
Wyprawa Wileńska, Warszawa 1919, wyczerpane
Podpułkownik Lis-Kula, wyd. II, Warszawa 1919
Wianki, Warszawa 1920
Wiosna 1920 roku, Warszawa 1921
Rubikon, nowele, Warszawa 1921
Generał Barcz, powieść, Warszawa 1923
Wakacje moich dzieci, nowele, Warszawa 1924
Przymierze serc, nowele, Warszawa 1924

JULJUSZ KADEN-BANDROWSKI

MIASTO MOJEJ MATKI

WACŁAW CZARSKI I S-KA
Warszawa, 1925

Ilustracje i okładkę rysował Tadeusz Gronowski. Nadbito 20 egz. na papierze czerpanym Van Gelder Zonen w Zakładach Graficznych B. Wierzbicki i S-ka w Warszawie.
Pierwszy — czwarty tysiąc.



MIASTO MOJEJ MATKI

Przypomnij sobie, co myślisz o ojcu, a co i jak myślisz zwykle o matce.

Ojciec to twoja duma, tarcza, sława i obrona, — od najwcześniejszych lat. Gdy mówią o tobie obcy, zwykle pytają — a czyj to? Z których to, proszę państwa, takich, siakich, owakich, — Malinowskich, Ostrowskich, czy Symchów? Czy to będzie, proszę pani, tego naszego doktora?

Posłuchajno uważnie, powiedzieli „naszego". Widać twój ojciec leczył ich tam gdzieś jakoś i radził im i pomagał, — „naszym" go nazywają.

Więc nawet nie odpowiadasz wcale na takie pytanie, tylko piersi ci się uniosły wysoko, policzki objął rumieniec i ciepło płynie przez serce.

A jeśli twój ojciec jest jeszcze bardziej znany, sławny w całym kraju, wystarczy, że wymówią wasze wspólne nazwisko, twoje i ojca, — bo jedno przecie macie na zawsze,—i pokręcą nad tobą głowami. Jakby odrazu korzyść niewidzialną z tego nazwiska czerpali.

A jeśli twój ojciec nie jest człowiekiem sławnym, ale, przypuśćmy, takim sobie zwykłym człowiekiem, to przecie ty wiesz, ilu ludzi przychodzi do niego ciągle po jego pracę. Jeżeli jest szewcem, ciągle go potrzebują, stukają w okno, w drzwi. Tak długo siedzą na zydlu i czekają. Jeżeli jest zwykłym górnikiem i skałę tylko kruszyć umie? Ty wiesz, że jego prosta praca daje ludziom ciepło przez zimowe miesiące, i co więcej, jest duszą całego przemysłu.

Jeżeli jest listonoszem, czyli, że roznosi listy, — jest ważnym posłem, nie mniej ważnym od posłów, którzy jadą w karecie przez wielkie, obce miasto wysłani na koszt całego narodu. Nawet ważniejszym! Bo tamten poseł załatwia sprawy i interesy gospodarcze, czy polityczne, ale twój ojciec, listonosz, może w zwykłym liście przynieść wiadomość o narodzinach brata, szczęściu lub nieszczęściu, jest więc posłem serca i miłości.

A jeśliby twój ojciec nie był ani sławnym, ani uczonym, ani robotnikiem, ani rolnikiem, ani listonoszem. Niech będzie tylko bardzo biednym człowie-

kiem. Żyje, jak może i tak mu trudno łatać z dnia na dzień swój ciężki los.

To nic!

Od najbiedniejszych nawet ludzi są jeszcze zawsze i wszędzie biedniejsi, — taki jest świat. Ty wiesz, że dla tych biedniejszych tyle razy jeszcze twój najbiedniejszy ojciec był jedynym ratunkiem.

Gdy się o nim mówi, możesz być równie dumny, jak syn króla, prezydenta, doktora i listonosza.

Twój ojciec to twoja duma, honor, sława i obrona.

Ale matka?

Matka nie ma czasu wyjść z domu, bo ty tam jesteś z rodzeństwem. Trzeba was karmić, pilnować, ubierać, trzeba przygotować, sporządzić to wszystko, czego codziennie potrzebujesz, a co ci się wydaje tak łatwe do zdobycia i do sporządzenia, jak powietrze, którem oddychasz. Wydaje się to łatwem, bo matka nigdy nie wypomina, że podaje ci te wszystkie rzeczy z wdzięczną radością.

Matka nie ma czasu wyjść z domu i żadnej drogi własnej nie ma, gdyż ty z rodzeństwem stoisz na wszystkich jej drogach, a ona ci ze wszystkich wszystko swoje oddaje. Własnego talentu, zabawy, nauki zaniedbuje, abyś ty miał każdej chwili, ile ci tylko trzeba.

A jeśli pragniesz mało, gdy w niej jest więcej, ona to „więcej" zapomni i zgubi bez żalu, abyś miał właśnie dość, jak ci trzeba.

Przyzwyczajasz się i nie pamiętasz, ile w tem dobrej, a jakby bezimiennej, nienazwanej nigdy pracy i czujności. Tymczasem praca owa i czujność właśnie z drobiazgów złożona a ogromna, o której prawie nie wiemy, nie pamiętamy, nie raczymy myśleć, stanowi o naszym charakterze, wychowaniu i całem powodzeniu późniejszego życia.

Jako dorosły mężczyzna w pracy, w pokoju, na wojnie przekonałem się, że wszystko, com dobrego zrobił, w tych właśnie cnotach matczynych miało początek. Jej uśmiechy dawniej niezauważone, jej łzy tylekroć przez nas, dzieci, wzgardzone, jej myśli wielkie i skromne, tyle razy przez nas, młodych chłopaków, wyśmiane, one to właśnie były nade mną, stopione w gwieździe przewodniej, błyszczącej radośnie nad każdą dobrą chwilą.

Teraz to wiem i rozumiem, ale powiedzieć matce mojej nie mogę, bo już jej na świecie niema.

I tu właśnie zaczyna się MIASTO MOJEJ MATKI *z wdzięków i dobroci wzniesione, przy bezpowrotnej drodze człowieka chwalebnie budowane, nie w kamieniu, czy też w granicie, ani w kruszcu, — lecz budowane z cudownego drzewa ludzkiej wdzięczności. To wielkie miasto wszędzie za mną chodzi, wszędzie gdzie jestem wonią jego oddycham i zawsze tylko jestem na jego krańcach, bo choć je przemierzam myślą wzdłuż i wszerz, nigdy piękności jego do gruntu nie poznam.*

Czy mnie rozumiesz?

Ojciec, — to honor, siła i obrona. Gdy się czło-

wiekiem staniesz, oddać mu będziesz mógł siłą, honorem i obroną.

Ale matce nigdy nie oddasz, już nazawsze dłużny. Bo nie masz tyle serca dla niej, ileś z niej wziął,— jak młody dąb nie odda soków z dobrej ziemi wziętych, a które krążą teraz w jego bujnej koronie.

Dlatego pierwsza moja książka dla młodzieży, dla was, kochani, dobrzy nasi następcy, taki ma tytuł.

A cel ma taki: byś, przeczytawszy te stronice, niewiele o mnie myślał, lecz by się w tobie o zmroku czy południu wywiązał nagle ów poryw nieodrodny, którym zmożony pójdziesz do swej matki i nagle, ukradkiem, za rękę nawet nie biorąc, złożysz na jej czole ostrożny pocałunek, lżejszy, niż puch wierzbiny, płynący przez wiosenne powietrze.

R O D Z I C E

(Czyli to, czego się nie da opowiedzieć)

Chcę opowiedzieć o pierwszych moich wspomnieniach, najpierwszych, o tem, co się pamięta, nim się wogóle cośkolwiek rozumie. Z różnych stron i czasów mego życia wynurza się tysiąc małych, pośpiesznych wydarzeń, a tyle ich jest, takim się zjawiły natłokiem, że przeszkadzają tylko!

Siedzę więc nad pustą kartką papieru, udaję, że nie słyszę, jak ptaki świergocą na drzewach, jak na dole ktoś chodzi i hałasuje w bielonym wczoraj korytarzu, udaję, że nie widzę, jak wiatr miecie przez stół prochy kwitnącej przy domu akacji, — i mruczę do samego siebie. Własną myślą jakbym się zanurzał głębiej i głębiej a byle co sprawia, że mnie tajemna woda przeszłości wyrzuca wgórę, na samą powierzchnię dzisiejszego dnia.

Nie gorsz się dziwnem porównaniem. Napisałem *tajemna woda,* by rzecz nabrała zimnej głębokości,

przez którą jakbym płynął do samych początków pamięci swego życia.

Aż oto nareszcie widzę najwyraźniej:

Złota lampa pod białym kloszem wisi w środku pokoju. Nade mną za gęstą siatką łóżka wznosi się po ścianie do góry, jakby łąka zielona, żółta i czerwona. Jest to wielki nowy dywan włóczkowy. Wisi na nim coś, co chcę mieć, dotykać, a najchętniej poślinić. To malutka karabela w pochwie z czerwonego aksamitu. Macham rękami, upadłem, znowu się podnoszę.

Tymczasem wielka ręka mego ojca odpina szablę z dywanu i pod lampą, między ścianami, poważnie zaczyna kroczyć. Oczywiście, nie ręka, a ojciec w szarem, kostropatem ubraniu, z bródką i z wąsami. Gdy patrzy na mnie, wybucham śmiechem. Gdy położy rękę na mojem czole, mógłbym odrazu zasnąć.

Wymachuje karabelą, tupie mocno nogami i mówi do mnie. Nie rozumiem nic oczywiście, ale mówienie to sprawia mi niewysłowioną przyjemność.

Pod ścianą i za zakrętem dywanu siedzą roześmiane ciotki.

Ojciec zbliża się do łóżka, dzwoniąc kluczami. Dziś wiem, że klucze nosi się w kieszeniach, wtedy jednak, skądże miałem wiedzieć?! Rozumiałem tylko, że kroki mego ojca wydają dźwięk drobnego metalu.

I tak nas obu już nazawsze pamiętam: ojca, jak stoi naprzeciw, jedną rękę trzyma na mojej głowie a drugą podaje mi zimne, błyszczące klucze.

Okazało się później, że była to w naszem życiu chwila bardzo ważna. Z wielkiej żarłoczności zjadłem był pono surowego ziemniaka i ciężko chorowałem. Ów dzień szabli i kluczyków był pierwszym dniem powrotu do zdrowia. Podczas mojej choroby rodzice utkali wspólnie ten dywan przez długie noce czuwania. Razem z małą karabelą zawiesili go nad łóżkiem.

Cała rzecz działa się w mieście Rzeszowie, gdziem potem kiedyś zajechał nie wcześniej, aż jako człowiek dorosły. Był wtedy śnieg, — zima i wojna zarazem.

Niby mnie coś prowadziło przez ulice zgłuszonego miasta i niby szedłem jakąś drogą w stronę jakiegoś rodzinnego domu, gdzieby mnie może czekały stare, chętne ściany. Już mi się zdawało, że widzę nasze okna, już im gotów byłem swą wdzięczność ofiarować, ale tu się numer bramy nie zgadzał, tam znów nazwisko właściciela całkiem było inne. To jedno tylko zgodziło się dosłownie, że dzwonki sanek tak właśnie grały w mgle, jak zimne, gładkie, wesołe klucze mego ojca.

Kiedyśmy przyjechali z Rzeszowa do Krakowa, jak się to wszystko odbyło, — nie pamiętam.

Wiem tylko—i to jest drugie zkolei wspomnienie mego życia, żeśmy przyjechali, że stałem w jakimś podłużnym, wysokim pokoju. Wszystkie drzwi były pootwierane, przeciąg się kręcił w mroku. Stałem przy piecu, obok którego siedziała moja matka. Jej

rozpuszczone brunatno-złociste włosy płynęły przez plecy za kolana, aż na podłogę.

Zawsze podczas bólu głowy rozplatała warkocze.

Na stole paliło się kilka świec a po ciemnych pokojach chodzili tam i zpowrotem robotnicy. Chodzili ciężko, z głuchym hałasem. Kosmatemi rękoma wnosili szafy i stoły, których zakurzone drzewo wydawało oschły chrzęst. Potem stawali na progu, wypinali brzuchy naprzód i utkwiwszy oczy w drżącym płomieniu świecy, mówili bardzo głośno do matki.

Podnosiła z rąk głowę i odpowiadała, patrząc na nich smutnemi oczami.

Nie mogłem zrozumieć, dlaczego jej słuchają; była tak drobna, że nawet mnie wydawała się malutką.

Obróciwszy się powoli dokoła, zbici w gromadę, znów razem wychodzili.

W pokojach wyrastały całe góry sprzętów, odwróconych lewą stroną, niby obcych i zawstydzonych.

Robotnicy przynieśli na pasach fortepian. Stał na środku podłogi, — jak „garbaty duch". Pobiegłem za nimi, żeby zobaczyć skąd przychodzą. Już w drugim pokoju straszno mi się zrobiło. Wracałem powoli pośród rozstawionych krzeseł i foteli, z całych sił patrząc do oświetlonej jadalni, gdzie pochylona przy piecu siedziała moja matka. Nie mogłem był zobaczyć jej twarzy, tylko szeroką strugę włosów, z nad dłoni przez oparcie spływającą żywem światłem w niepewny, szary mrok.

Lata już minęły od tego czasu, a ile razy widzę

jakiś dom, do którego szarówką wnoszą ludzie sprzęty... Powiem ci więcej, — ile razy widzę jakieś roboty wielkie i trudne... Powiem ci jeszcze więcej, — ile razy widzę wielkie, trudne roboty i sam w nich jestem i działać w nich mam, tyle razy przypomina mi się i jakbym widział nad sobą i nad nami wszystkimi wysoko w mroku lśniące pasmo żywego światła.

Tyle ci chciałem opowiedzieć o pierwszych swoich wspomnieniach. Jak ojca pierwszy raz w życiu zobaczyłem a jak matkę. Odłożę teraz pióro, zawołam moich chłopców i pójdziemy razem do lasu.

A wiesz na co kładę pióro? Na *dywan mego zdrowia,* na mały kwadracik starej, zleniałej włóczki, który przetrwał, leży teraz cierpliwie przy kałamarzu. Bo tyle tylko zostało z zielonej, żółtej i czerwonej łąki, którą rodzice moi razem tkali i kiedyś nad łóżeczkiem mojem przywiesili. Kwadracik ten dla nikogo nie może mieć żadnej wartości. Ale jabym go za nic nie oddał.

Dla mnie przecie ów wątły krzyżyk włóczki, to jakby małe, kolorowe okno, przez które jeszcze dziś słychać *dzwoniące klucze mego szczęścia* i widać jeszcze dziś powłóczyste *pasma największej mej miłości*

TAJEMNICZY PRZYJACIEL

(Wcale nie straszna a nadzwyczaj dziwna historja)

I

Jego powstanie

Jak się to stało, że zacząłem pamiętać nasze meble, rozkład całego mieszkania, krewnych, którzy nas odwiedzali, i różne inne rzeczy — nie umiałbym nikomu opowiedzieć. Najserdeczniejsze węzły łączyły mnie narazie ze stołkami jadalni. Uważałem je za bardzo bliskich przyjaciół, na których jednocześnie można jeździć bezkarnie konno.

Jeżeli chodzi o pojmowanie przyjaźni, sądzę, że już wtedy rozumiałem ją dość dobrze. Za bliskich sobie uważamy przecież tych tylko ludzi, którymi łatwo nam powodować.

Wyplatani moi przyjaciele musieli skakać na politurowanych nogach po posadzce ile wlezie, i zaprawdę, niejeden bat wystrzępił się na ich rzeźbionych galeryjkach.

Z wielkiemi fotelami salonu, krytemi morelowym pluszem, nie można było utrzymywać tak zażyłych stosunków. Co najwyżej, gdy rodzice szli do miasta, płynęliśmy na tych fotelach ze starszym bratem, który czytał wtedy o sławnym podróżniku Stanleyu, — przez dywanowy Nil bezbrzeżny do niezbadanego źródła tej świętej rzeki, to jest do staroświeckiego kominka, zbudowanego w kącie pokoju.

Krokodylami były po drodze małe podnóżki, z których oszczepem, czyli starym pogrzebaczem, wyrywał mój brat resztki włosia, krzycząc przytem zajadle:

— Farbuje, bestja, farbuje!

Robiło to na mnie tak potężne wrażenie, że łzy przerażenia stawały mi w oczach. Gdyby nie całe lata nauki, dziś jeszcze wierzyłbym chyba, że krokodyle mają krew suchą i siwą, jak włosie starego materaca.

W tym samym czasie wielkich podróży po dywanie wytworzyła się osobliwie poufna zażyłość pomiędzy mną a kadzią, w korytarzu przy kuchni. W kadzi była prawdziwa głęboka woda, odbijająca z łatwością wszystko, co się jej pokazało, nie wyłączając języka.

W kadzi było także echo.

Za rzecz prawie tak cenną, jak tę starą beczkę, uważaliśmy fortepian. Wnęki zakurzonego spodu instrumentu były dla nas ciemnemi grotami, w których, — aby się miały gdzie zaczajać, — ustawialiśmy nasze ołowiane dzikie zwierzęta. Wkrótce zapomnieli-

śmy o nich, i dopiero kiedyś później, podczas mocniejszej gry zaczęły się przewracać.

Matka zerwała się od klawjatury, krzycząc:

— Mysz, w fortepianie mysz!

— A więc chociażby mysz, — odpowiedział ojciec, — cóż z tego?

Zaczął śmiało odsuwać fortepian od ściany.

Ze spodu czarnego pudła wyleciała nie mysz, lecz rymnął na podłogę lew, za nim słoń, tygrys, żyrafa z ułamaną głową, parę palm blaszanych, dwie zebry, szpulka od nici, jaguar i cały deszcz różnych mniejszych zwierząt.

— Będziesz mi tu arkę Noego robił z fortepianu?! — zawołał ojciec.

Nie rozumiejąc jeszcze, co znaczy arka, odpowiedziałem z dumą, że będę.

Niestety, z biurkiem ojca nie mogliśmy sobie poczynać, jak z kadzią czy fortepianem. Można było tylko zdjąć z zielonego sukna glinianą skarbonkę, w której grzechotały pieniądze, i — ale to już w całkiem wyjątkowych okolicznościach — można było „dostać na trochę" długi sztylet kościany do rozcinania kartek.

Mordowaliśmy nim różnych wściekłych Indjan, zdaniem mego brata,—wszędzie obecnych, choć niewidocznych dla oka.

Mówię o biurku, a nie wspominam o biednym bracie biurka, który zawsze obok skromnie stoi, to jest o koszu na śmieci i papiery.

Był to dla nas prawdziwy, przez wszystkich ludzi na świecie tak upragniony pono — róg obfitości.

Wyciągaliśmy z niego stare, pomięte listy i odprasowawszy pieczołowicie siedzeniem, wręczaliśmy sobie poważnie, mówiąc:

— List do szanownego pana dobrodzieja.

Z przetłuszczonego papieru od tytoniu skręcaliśmy świece, które tląc się, kopciły wspaniale. Odprawialiśmy przy nich różne nabożeństwa, na które przychodzili niewidoczni Indjanie i wszystkie nasze dzikie zwierzęta.

Z ustników na cygara robiliśmy wielkie białe kominy do „prawdziwych" lokomotyw, a za puste pudełka od zapałek płaciliśmy pod kanapą „czarnemi dniami", zerwanemi z kalendarza. Czerwono drukowane święta i niedziele odkładało się zawsze „na później".

Stary kosz na śmieci był niezgłębioną kopalnią guzików, dni, świąt, listów, pudełek, spraw, — i nigdy już potem tylu skarbów, na jednem miejscu w takim wyborze zgromadzonych, nie udało mi się spotkać.

Dlaczego teraz o tem piszę?

Dlatego, by ci przypomnieć, że nic nigdy na świecie nie może się zmarnować. Co jedni odrzucili, drudzy ukochać mogą. Z najlichszej rzeczy wytrysnąć zdoła czyjeś wielkie szczęście, i nie można niczem gardzić, — by bezwiednie nie pomiatać marzeniem równego nam człowieka.

Do rzeczy, które wtedy nęciły naszą uwagę, dołączyć trzeba także paru tak zwanych „starszych".

Rozmaitych wujów, którym się włazi na kolana, by ciągnąć za krawatkę, i ciotki, którym się włazi na kolana, by oglądać zamykany medalik.

Wujowie byli bardziej zajmujący. Mieli mnóstwo kieszeń, wąsy, mówili głośno i napewno byli silniejsi od ciotek.

Nie mogliśmy zrozumieć, dlaczego ciotkom ustępują miejsca, całują je w rękę, lub otwierają przed niemi drzwi. Jakby taki wuj chciał i walnął mocno kułakiem, — coby mu zrobiła?! Przecieżby nie potrafiła oddać.

Z wujami miewaliśmy rozmaite przygody.

Jeden przyszedł raz jako strzelec austrjacki,— a właśnie takimi ołowianymi strzelcami austrjackimi bawiliśmy się pod stołem. Zjadł na leguminę dwadzieścia cztery pierogi z morelami. Jadł tak prędko, że tylko mu wąsy migały. Staliśmy koło krzesła, trzymaliśmy jego bagnet i sapaliśmy głośno, żeby pomóc.

Matka moja powiedziała nagle:

— Ależ ty chyba pękniesz, Lutek.

Odpowiedział, śmiejąc się:

— Przepadam za morelami.

„Pękniesz, Lutek", — czyż można sobie wyobrazić coś śmieszniejszego?!

Jest już teraz siwym staruszkiem, ale zawsze go pamiętamy jako strzelca, który „przepada za morelami".

Drugi wuj odznaczał się tem, że się nami brzydził.

Przyszedł raz na drugie śniadanie, gdyśmy jedli

chleb z masłem i z powidłami. Usiadł na kanapie i powiedział:

— Tylko proszę z masłem ode mnie zdaleka.

Zbliżyliśmy się do niego nieznacznie. Zaczął uciekać, a potem krzyczeć:

— Precz z masłem!!

Teraz jest dyrektorem wielkiego banku. Przed wspaniałym gmachem ciągną się klomby kwiatów, przy lustrzanej bramie czekają cały dzień błyszczące samochody. Ile razy jednak tamtędy przechodzę, nie rozumiem właściwie, dlaczego na banku wuja niema napisu: „Precz z masłem!"

Miałem wujów i stryjów, braci ojca i matki. Długo nie rozumiałem, jaka zachodzi między nimi różnica. Ojciec opowiadał, że kiedyś był też mały i miał własnych małych braci. Śmieliśmy się z tego na całe gardło, sądząc, oczywiście, że prawdziwa małość od nas się dopiero na świecie zaczyna.

Najważniejszy ze stryjów był śpiewakiem. Kochaliśmy go nad życie, za to, że tak pięknie śpiewał i że nie jadł nigdy cukierków, ciastek ani tortów, bo miał cukrówkę.

— To znaczy, — jak powiedział mój ojciec, — za dużo cukru.

Często myśleliśmy nad tą sprawą. Czy ma miałki kryształ rozsypany w sobie, czy też w środku ciała całą głowę cukru, która jakoś ukradkiem wyrosła?...

I — jeżeliby ułamać naszego stryja w nocy, gdy śpi, czyby był słodki?

Drugi stryj był uczonym profesorem. Praco-



wał w laboratorjum. Zazdrościliśmy mu bardzo, że się tak świetnie bawi. Siedział zawsze z długą fają wśród rurek, szklanek, najdziwniejszych przyrządów i pił piwo. Gdy się przychodziło, kazał patrzeć, jak się z rurki leje woda na wymyśloną naukowo, nieprzemakalną dachówkę, ustawioną w wanience.

Lała się na nią, jak mówił, „bez litości", we dnie i w nocy.

Bywaliśmy tam często. Ojciec mój, palta nawet nie zdjąwszy, podbiegał odrazu do kurka, zakręcał i wołał:

— Bój się Boga, człowieku!

Babek i ciotek nie wyliczam. Wiadomo, jakie to długie i męczące. Dodać tylko muszę jedną młodą ciotkę i pozłacaną tacę, która stała pod lustrem. Obie będą później potrzebne. Wspomnieć też należy, że mieliśmy starego służącego Tomasza. Odznaczył się on w jednym ważnym wypadku mego życia.

Te wszystkie rzeczy wyżej wspomniane i ludzie, ściany i okna, dnie i święta, woda i słońce, deszcz i śnieg, — wszystko razem zapewne sprawiło, że nareszcie powstało coś, co do dzisiejszego dnia napełnia mnie głębokiem wzruszeniem i co, sądzę, z pokolenia na pokolenie w sercach ludzkich powstaje. Coś, co jest źródłem naszej wielkości na ziemi, a co ja miałem szczęście uczuć w małej swej piersi na podłodze naszego salonu, przed zaoszczędzonym kawałkiem czekoladowego tortu, w cieniu morelowego krzesła.

Było to w zimie, wieczorem, podczas wizyty wielu różnych gości. Wiesz dobrze, co znaczy, gdy mają przyjść goście. Lata się wtedy po wszystkich pokojach, otwiera się drzwi przeciągowi, wisi się przy fartuchu kucharki, a potem w nowem ubraniu przewraca się kozły na środku „wiernego" dywanu.

Nareszcie palą się wszystkie lampy, które trzeba okrążać zdaleka, a nad każdym stołem do kart mrugają cztery nowe świece.

Jest ogromna kolacja.

Potem wszyscy siedzą znów w salonie i śmieją się i mówią i opowiadają, aż gęsto się robi w powietrzu od światła i miłego hałasu.

Jestem przecież mały. Siedzę pod morelowym fotelem, przede mną na dywanie leży zaoszczędzony kawałek czekoladowego tortu, plotę warkocz z frendzli i chcę się cieszyć. Chcę mówić razem ze starszymi. Ale nikt na mnie nie czeka i nigdy nie wiem, kiedy właśnie śmiechem wybuchną. Z radości i z osamotnienia tyle, tyle naraz mógłbym i ja tu powiedzieć!

Dalej sobie opowiadają, — niema w tem wszystkiem dla mnie ani odrobiny miejsca. War gorących chęci przepełnia mi piersi, może wnet zacznę płakać z tej samotności, nikt nie czeka, nie rozumie, że wszystkich tak kocham!

Wtedy nagle odsunęła się jakby wewnątrz mego ciała ukryta, cicha, niewidzialna zasówka. Wytrysnęły z pod niej odrazu różne od zwykłych, moje własne, kuse i długie, cienkie i okrągłe, dziwaczne słowa.

któremi mówiłem bardzo długo do powyginanych sprężyn starego karła.

W języku ludzi dorosłych rzecz taka nazywa się *natchnieniem*. Tworzy ono wszelką potęgę człowieka, znikome sprawy umie czynić wiecznemi, przez tysiące lat pręży się w marmurach, nie ginie na przedartej stronicy i sprawia, że ludzie umarli przed tysiącami lat kierują dziś krokami małych dzieci. W moim języku nie nazywało się to wtedy natchnieniem, lecz innem słowem. Wyznaję je ze wstydem, tak jest śmieszne, głupie i tak mi bardzo drogie.

W moim języku nazywało się to — *Gujsztwakiem.*

Kto to był *Gujsztwak?* Czy też co?

Gdy mi się zdawało, że mówię coś, czego nie umiem wyrazić, a co mnie napełnia ogromną radością... Gdy mi się zdawało, że mówię to za kogoś stokroć lepszego ode mnie... Gdy mi się zdawało, że popoprostu mówię za cały świat, — wtedy poprostu *był Gujsztwak*.

Może to wszystko jest wkońcu trochę nudne. To nic, bądź cierpliwy, zwierzam ci największy mój sekret i tajemnicę. Gdybym miał ptaka, i gdyby od losów jego zależało całe moje życie, i gdybym tę małą ptaszynę złożył w twoje ręce, — nie znaczyłoby to chyba więcej, niż gdy ci teraz mówię o *Gujsztwaku*. Przekonasz się kiedyś o tem, gdy będziesz oglądał obrazy, które przez setki lat zachwycają znawców, gdy będziesz słuchał muzyki, która z oczu najszczęśliwszych ludzi wyciska łzy, czy też, gdy będziesz

podziwiał jakieś dzieła ogromne a wiecznotrwałe. Nie stworzy tych rzeczy i dziś człowiek, by się nagle w jego sercu nie odsunęła tajemnicza zasówka, z pod której tryskają słowa, za cały świat mówiące.

II

Jego historja

Wiesz o powstaniu *Gujsztwaka*, posłuchaj teraz dziwnej jego historji.

Długi czas gnieździł się wyłącznie pod fotelem, chrobocząc poufnie wśród sprężyn. Potem się ośmielił. Przemawiałem *za niego* do wszystkiego, co się cieszyło, czyli prawie do wszystkich rzeczy, z któremi wówczas miałem do czynienia.

Wielkie maszkary Sukiennic, naprzeciw których mieszkaliśmy w Rynku, białemi kamiennemi ustami tyle z mych ust wyłudziły *Gujsztwaka*. Rozkwitający bez na krakowskich plantach, gdyśmy szli z matką do babci na ciastka, każda kulka gazu wody sodowej z sokiem za dwa centy, jaskółki dokoła wieży Marjackiej po niebie latające, — wszystko wołało ciągle o słowa *gujsztwackiej* radości.

Z okien naszej kamienicy, która miała za patrona św. Florjana, polewającego w sieni kubełkiem dom z rzeźbionemi na dachu płomieniami, patrzyłem całe popołudnia, jak wszystkiemu, co się dzieje, doradza właściwie — *Gujsztwak*. Zdało mi się, że mojemi ustami skrycie nakazuje, by koń przy tramwaju biegł równo pośród szyn i równo dzwonił dzwonkiem. By stary woziwoda szedł po wodę do studni przy małym

kościele św. Wojciecha. By wskazówka na ratuszowej wieży sunęła statecznie, i by godziny dzięki temu mogły się dziać równo.

A gdy kucharka Filipina strącała żółtka w donicę, skryty w mej piersi *Gujsztwak* mlaskał cicho wraz z niemi. A gdy je tarła z masłem, ślizgał się w brózdach złocistego tłuszczu, świszcząc, sycząc i gwiżdżąc z radości.

Więcej od masła, ciastek, wody sodowej, więcej od wszystkich legumin, — chyba najwięcej ze wszystkiego na świecie lubił wojsko. Codziennie czekał cierpliwie pośród krat odwachu, któryśmy widzieli z naszych okien. Gdy nadchodziła zmiana warty, gdy już z rogu ulicy widać było czaka, puszczał ze straszliwym rykiem jedyne słowo, z ludzkiej mowy starszych do *gujsztwackiej* przyjęte:

— Wojsko!!

Stawały naprzeciw siebie dwa oddziały. Trębacze trąbili. Oficerowie machali szablami. *Gujsztwak* szalał, stając się prędko pokryjomu psem, aby się z radości bić ogonem po bokach.

Jeden oddział odchodził, drugi spokojnie zostawał, potem żołnierz z cukierni ze Sukiennic przynosił oficerowi na tacy białe bułeczki z kawą.

Dałbym wówczas wszystkie pudełka zapałek całego świata, dałbym ukradzione i za piecem schowane lusterko do puszczania tęczy, dałbym wszystkie czerwone kartki niedziel i wielkich świąt, ukryte w ciemnem pudle maszyny do szycia, — by jedną bodaj chwilę pobyć tam z żołnierzami na odwachu.

Kim jest *Gujsztwak* naprawdę, dowiedziałem się pewnego dnia targowego, w słońcu, na kamiennym lwie, co stoi przy schodkach ratusza. Dnie targowe były w piątek i wtorek, kupowaliśmy wtedy mleko, jajka, ser, jarzyny i drób.

Kto lubi jajka zgrzytające w słomianym koszyku i biały ser na zielonym liściu, kto lubi świeży groszek strzelający perłowemi ziarnkami, ten wie, że pośród tupotu młodych, rudych ziemniaków, sypanych prędko z worka, wiele musiał mieć do gadania tajemniczy *Gujsztwak.*

Matka moja z piórkiem na małym kapeluszu szła dzielnie, śmiało naprzód. Wszyscy wiedzieli, że ma lekką rękę. Gdzie tylko raz co kupi, tam już targ pójdzie świetnie. Mój siostrzeniec mówi to samo dziś o swojej matce a mojej siostrze, dawniej bardzo nieznośnej dziewczynie. Tak już urządzone jest życie, że wszystkie kochane matki mają lekkie ręce, możnaby powiedzieć — lżejsze od jaskółek i wogóle najlżejsze na świecie.

Jużeśmy weszli między stragany, — zaraz będziemy kupowali. Cztery wiejskie baby w krochmalonych spódnicach, w kraciastych chustach, z koralami na szyi, jak pstre indyczki stoją pilnie na straży. Matka moja w pośrodku, niby mała pantarka obraca się uważnie.

Przezorny *Gujsztwak* milczy i nic jeszcze nikomu nie doradza. A gdy matka, smakując brzeżkiem wargi śmietanę, zmruży ku górze uniesione oczy i szu-

ka niemi czegoś po pogodnym błękicie, ja też szukam na niebie spojrzeniem, jakby tam właśnie ze śmietany uleciał duch smakowitości. Niema go nigdzie wgórze, tylko gruba maszkara Sukiennic trzyma w białych wargach siny skrawek cienia.

Od śmietan, jajek, kur idzie się jeszcze dalej do beczek, trzepaczek i drewnianych wyrobów.

Ja mam tu trochę poczekać.

Nie czekam.

Pobiegłem schodami do tylnych drzwi ratusza, gdzie wartuje kamienny lew z utłuczonym nosem, z oczami jak czarne fajerki, i z zimną, nieumiecioną wodą w kabłąku zakrzywionego ogona. Na lwie tym siedząc okrakiem, waląc gołemi łydkami w jego twarde boki, szarpiąc grzywę, porośniętą mchem, w krzyku całego targu, w prędkim jazgocie bab, w miganiu pstrych kolorów, gdakaniu kaczek, gęgoleniu gęsi, pod namiotem przeczystego nieba, nie mogłem nagle z radości wytrzymać i wrzasnąłem:

— *Gujsztwak* jest królem świata!!

Mój król tak się wkrótce ze mną oswoił, że bardzo często nic już sobie ze mnie nie robił. Jak gdyby przenikał moje myśli i lepiej ode mnie wiedział, czego chcę.

Pierwsze poważne kłopoty miałem z nim w gimnazjum.

Niecierpiał obcych języków, choć przecie sam był najdziwniejszym językiem na świecie. Znęcał się nad łaciną, poniewierał starą, dźwięczną greką. Konjugacjom, deklinacjom obcinał niemiłosiernie

ogony końcówek, a sam ogonem kamiennego lwa roztrącał stopy homerowskiego heksametru, któregośmy się musieli uczyć po trzydzieści wierszy dziennie napamięć.

Z całej nauki gimnazjalnej ukochał i za swoje uznał jedno tylko słowo, a mianowicie, gdy była mowa o Biblji Szaroszpatackiej, pomniku naszego piśmiennictwa. „Szaroszpatak" dla niebywałego dźwięku uznany został za wyrażenie *gujsztwackie*.

W czasach uniwersyteckich buntował się jeszcze dokuczliwiej. Przekładaliśmy z oryginału Plauta, czy Sofoklesa, wywodziliśmy na tablicy rodowody rozmaitych słów od samego chyba Adama i Ewy. Natężałem wszystkie myśli, żeby się cieszyć temi rodowodami, ale mi *Gujsztwak* nie dawał, każąc pleść między wierszami rozmaite głupstwa.

To samo było przy nauce o człowieku. Mierzyliśmy cyrklem stare czaszki, czy też w muzeum odwiedzaliśmy szanowne szkielety przedpotopowych bestyj, zwanych iguanodontami. Owszem, *Gujsztwak* godził się na samą nazwę, cieszył się nią nawet, ale z czcigodnych kości nic sobie nie robił. W drucianych przęsłach tych potworów błyskał równie wesoło, jak ongiś w sprężynach morelowego fotela.

W tym czasie ostatni raz chyba kazał mi krzyczeć z radości. Było to, gdy zobaczyłem naprawdę wydrukowaną pierwszą moją książkę.

Jak dotąd, zawsze ja mówiłem za *Gujsztwaka*. Od czasu pierwszej mojej książki zamieniliśmy role.

On zaczął mówić za mnie..

III

Jego koniec

On zaczął mówić za mnie!

Pierwszy raz zdarzyło się to w lecie, w ogrodzie, gdym poznał przyszłą moją żonę. O, tak, wtedy już napewno nie ja mówiłem, lecz on, mój tajemniczy druh. To on wtedy przez gęstwę zielonych gałęzi prawił tak cicho i niezrozumiale, że moja przyszła żona, nic nie rozumiejąc, śmiała się tylko, różowe ręce do góry uniósłszy.

Potem, po latach, nie mówił już prawie wcale, a tylko szeptał. Działo się to wielkiego czasu wojny. Między jedną wyprawą a drugą zapragnąłem raz jeszcze zobaczyć dom i mieszkanie, z którego się na świat patrzeć nauczyłem.

Minąwszy świętego Florjana, co w przedsionku zawsze pilnie gasi kamienne płomienie, przyszedłem na to drugie piętro w starym ciemnym korytarzu, na lewo. Otwarli mi ludzie obcy, zdziwieni, i jak się pokazało — życzliwi. Oto znów mijałem kochane pokoje, a gdziem tylko stanął, tam zaraz ściany tchnęły historją dawnych małych moich lat.

Tu nasz pokój dziecinny, tu jadalnia, tam sypialny, a w salonie?

W salonie, w kącie koło pieca, gdzie co rok drzewko Bożego Narodzenia stawało, — teraz na białej rogoży leżały równo poukładane jabłka. Jakby ze wszystkich wspomnień został tylko rumiany uśmiech wonnego owocu.

Obcy państwo i ja trwaliśmy w milczeniu; na słomianej plecionce chwiały się z lekkim szelestem rumiane zimówki. Nie wiedziałem, co mam powiedzieć. Och, — brakło mi słów. Tylko w starej rogoży, trącanej policzkiem renety, jakby całkiem już cicho szeptał za mnie mój Gujsztwak.

Potem, jeszcze później, po wojnie, w wielkiej jesieni zmartwychwstania ludów, nie mówił już i nie szeptał, — lecz płakał.

W listopadzie żołnierze wystąpili z koszar. Posłowie parlamentu wbiegli razem do sali ratusza. Na odwach wszedł oddział żołnierzy austrjackich z białemi orłami na czapkach i oddział legjonistów, otoczony tłumem radosnym. Z wieżyczek warty głównej wytknięto biało-czerwone sztandary i wszystkie kraty owiązano narodową barwą, niby pręty jakiegoś kosza szczęśliwości.

Takiego szczęścia od czasu, gdym pomięte listy z kosza mego ojca wyciągał, — nie doznałem.

Byłem tam w tłumie i byłem nareszcie w tym pokoju oficera na odwachu. Słuchałem wszystkich mów, razem ze wszystkimi wznosiłem szczęśliwe, niby z kajdan uwolnione ręce.

Następnego ranka, w targowy dzień, parada się miała odbyć nowych oddziałów polskich i uroczysta przysięga. Więc znów biegliśmy na Rynek, — ale nie z moją matką; na przodzie generał, ja o dwa kroki ztyłu, prosto na kosze, indyki, kury, masło, baby i kamiennego lwa.

Od Florjańskiej ulicy walił już cały nasz bataljon, a tu generał krzyczy:

— Gdzież miejsce, — rozgoń mi te baby! Uprzątnąć mi to zaraz!

Biorę szablę pod pachę, w ciężkich butach przyśpieszam po nierównym bruku, wołam coś nader srogo do kur, bab, chłopów, indyczek, kaczek, gęsi i do wszystkich barw i do wszystkich hałasów najwcześniejszego dzieciństwa, ale nie widzę dobrze... W oczach mi się wszystko rozpływa...

Kto płakał? chyba *on*, za mnie i za nas wszystkich — mój tajemniczy przyjaciel.

Gdyśmy się rozchodzili, biła jakaś godzina, — nie wiem która. Już nie dojrzę wskazówek zegara, a tylko słyszę dźwięk. Myślę, że „zato" z okna, z którego niegdyś na ten Rynek patrzyłem, wygląda znowu na nas jakiś inny chłopczyk. Że zazdrości nam, jak swego czasu zazdrościłem oficerowi, któremu żołnierz niósł kawę w białych kubkach z cukierni.

Gdy odchodzimy, zapewne zjawiają się na naszych miejscach ci, którzy dotąd patrzyli tylko na nas. I sądzę, że dopiero dzięki nim możemy nareszcie zobaczyć to, co się dotąd w wirze czynnego życia ukrywało poniekąd przed naszym wzrokiem.

Tak też i ja wkońcu dzięki komuś nowemu zobaczyłem własnemi oczami mego tajemniczego przyjaciela.

Było to w zimie, rano, w mrocznym, miejskim pokoju. Czekałem pod ścianą, co wreszcie powie nasz doktór. Pomyśleć, że mój ojciec był też doktorem,

że też ktoś tak czekał kiedyś na niego z biciem serca, — co powie...

— Ma pan syna, panie kapitanie.

Wtedy zobaczyłem *Gujsztwaka* na jawie, żywego, od stóp do głowy. Zjawił się w jednym błysku sekundy, zajmując całą przestrzeń pokoju. Tak to był on, cały on, utkany ze wszystkich moich wspomnień. Na głowie miał włosy sino-bronzowe, pokręcone, niby sprężyny morelowego fotela. Czoło z szarego kamienia, jak uśmiechnięta maszkara Sukiennic. W oczach obracały mu się świeże, błyszczące żółtka. Brodę miał ze złotych sopli gęstej, kwaśnej śmietany, kamizelę z piórek pantarki, a spodnie z nieprzemakalnych dachówek mego stryja.

Siedzenie wyłatane było wielką stronicą Biblji Szaroszpatackiej.

Widziałem go chyba nie dłużej, niż jedną setną sekundy. Pamiętam tylko, że się walnął kamiennym ogonem z całej siły w brzuch i głosu nawet nie wydawszy, — znikł.

Sądzę, że pękł z radości. Teraz go już nigdy nie słyszę, ani rano, ani wieczorem, ani na wizycie, ani nawet przy obiedzie z ulubioną zupą rakową. A przecież śmiało można o nim powiedzieć, jak o tym wujustrzelcu, — że „przepadał za wszystkiemi porami jedzenia".

Cóż się więc stało? Przypuszczam, że zastąpił teraz *Gujsztwaka* mój syn malutki.

On teraz gada niepojętą mową,— wybacz, czytelniku, że po raz ostatni użyję tego dziwnego przymiot-

nika, — mową *gujsztwacką*. Gada słowami, które się nigdy nie kończą i zawsze właściwie nic nie znaczą. To syn mój teraz przecie wykreśla ścieżki w donicy poprzez żółtka, któremi tak serdecznie patrzył na mnie ostatni raz mój stary, dobry *Gujsztwak*.

Zapewne już wnet dozna mój syn pierwszych uroków pamięci. Narazie nic jeszcze nie wie, ale z pewnością, choć tego nie widzimy, gromadzi się już w nim zasób przyszłych myśli i uczynków.

Sądzę, że już niezadługo otworzy się w jego małem sercu przedziwna zasuwka, niewiadomo tylko co z za niej na świat wyskoczy? Jeżeli jednak ja z *tajemniczego przyjaciela*, który był duszą mojego dzieciństwa, niewiele więcej w życiu wykrzesałem, niż to zawiłe opowiadanie, — wierzę, że syn mój zrobi o tyle więcej ode mnie, o ile bardziej go kocham od samego siebie.

Mój syn z wami pójdzie przez życie. My, starsi, będziemy was podziwiali, siedząc już wtedy pod oknem na spłowiałych morelowych fotelach.

S K A R B O N K A

(Rozprawa o miłości i oszczędności zakończona wnioskiem)

I

Wstęp naukowy

Mój pierwszy, własny pieniądz zobaczyłem w objęciach matki, rano, nad wodą, oczyma płaczem zalanemi.

Zdarzenie to uważam za bardzo ważne. Mieć do czynienia z pieniędzmi, choć trochę rozumieć ich istotę, — to jakby obcować z duchami, lub zacząć naprawdę rozumieć skąd się wzięło morze i dlaczego tak a nie inaczej posuwa swe fale w przestrzeni. Przypuszczam nawet, że łatwiejby było odgadnąć konieczność i ład poruchu największych oceanów, niż siłę pieniądza. Życie bowiem oceanu nigdy chyba nie jest w sprzeczności z prawami przyrody, pieniądze natomiast, z rozumu i uczucia ludzkiego

powstałe, niejednokrotnie niszczą człowieka silniej, niż najgorsza zaraza.

Pieniądze! Dźwięk tego słowa, to dźwięk tylu cierpień, — gruba, złota sprężyna strasznych wojen, — pośród triumfu obrzydły kłopot największych wodzów świata. Aleksander Wielki, mściwy Hannibal, Cezar praworządny, mężny Belizarjusz, Karol XII, Napoleon I, nasi hetmani, skrwawieni srodze na dalekich kresach, — ileż wszyscy oni wycierpieli, nie mogąc poprzeć zwycięskiego miecza dosć usłużnem złotem.

Pieniądze! Syk zazdrości gryzący korzenie najgorętszej wiary, najtkliwszego uczucia! Ale zarazem rozum potrzebnej wymiany, pośrednik giętki, lotny, największą siłą zaufania zbrojny, droga cięta przez puszcze, tajemnica przyrodzie wydarta, — bo jak tych rzeczy trudnych i wielkich dokonać bez pieniędzy?!

Każdy z nas zastanawia się w życiu, czy je mieć, czy ich nie mieć, czy z niemi poczynać, czy bez nich, czy nawet przeciw nim?

Starsi twierdzą, że przychodzi to dopiero we właściwym czasie i że przedtem my „mali" wolni jesteśmy od powyższych kłopotów. Twierdzę, że się mylą, że nawet gdy chcą ukryć przed nami swe „położenie pieniężne", wychodzi ono na jaw. My „mali" bierzemy w niem udział od samego początku niedoświadczonej pamięci.

Pamiętamy wybornie, kiedy w domu szło wszystko dobrze, a kiedy nie szło. Dobre czasy poznawało

się przecie natychmiast po wesołym uśmiechu starszych, żywej serdeczności, z jaką gościli przyjaciół i po różnych niespodziankach, które się raz po raz zjawiały.

Czasy złe wyglądają zupełnie inaczej. Wszystko jest wtedy jakby mrozem objęte, w pokojach tyle ciszy, po ciemnych kątach tyle samotnego myślenia.

Mówić, że „mali" tego nie rozumieją, to nie znać się na niczem.

W takich ciężkich chwilach naszego domu cierpiałem z pewnością nie mniej od Hannibala, który się z trudem kosztów za słonie wyprawy punickiej dorachowywał, czy od króla Batorego pod Pskowem, w puste dno kalety bijącego. Z tą tylko różnicą, że gdy oni ku rozweseleniu mieli nadwornych błaznów, ja, ty i zapewne każdy z nas, w ciężkich czasach własną zabawą próbowaliśmy starszych rozerwać.

Któż z nas nie pamięta tych głośnych i za szumnych min, nie dla siebie, lecz na pokaz robionych?

Któż z nas nie pamięta więznących w gardle łez, gdy zabawa samotnie brzęczała, nikt się do niej z nad biurka nie podniósł, ani zbliżył...

Tak, tak, — od najmniejszej młodości musisz sobie radzić z pieniądzem. Ja się z nim też od pierwszych chwil pamięci swej porałem, — tu opowiadam jak. A mówię nie dlatego, iżby wydarzenie było osobliwe, lecz żem od wtedy aż do dziś ani w tej sprawie zmądrzał, anim nowe poglądy, czy korzyści uzyskał.

Słowem, że stoję na tem samem miejscu, z które-

go radbym, by mnie sąd czytelnika choć o krok naprzód ruszył.

II

Rzecz właściwa

Mój pierwszy, własny pieniądz ujrzałem oczyma pełnemi łez w śpiesznych objęciach matki. Było to w parku krakowskim, podczas nauki pływania.

Nauka pływania odbywała się w ten sposób, że doświadczeni instruktorzy-żołnierze brali uczące się panie jakby na ogromne wędy, zrobione z dużego drąga i grubego sznura, zakończonego pasem. Na wędach tych rzucone w wodę, podobne do pajaców w kraciastych bluzach i bufiastych spodenkach, pływały dookoła stawu, wyrzucając na komendę rękami i nogami.

Matka moja uczyła się nie na wodzie, lecz w korytarzu drewnianych łazienek na włochatym dużym materacu. Tam „na niby" rozgarniała powietrze, podczas gdy my z bratem pływaliśmy po obu stronach na podłodze.

Aż tu dziś rano przyszedł żołnierz i wziął ją odrazu na wędkę. Przyczepiona haczykiem do pasa zeszła sobie ze schodów. Nie głęboko, najwyżej po kolana.

Widzę ją dotąd przed wzrokiem pamięci, choć tyle lat minęło i choć teraz patrzę na dęby za oknem mojem wyrosłe, nie zaś na brzozy białopienne, szu-

miące wtedy ponad stawem. Widzę ją dotąd, — stoi w niebieskim kapturku, który się odbija w wodzie między smugami zieleni. Ręce już zamaczała, mówi coś do mnie, z palców spływają krople białe, jak iskry.

Aż .raptem, — chlust do wody. Sznur wielkiej wędy naprężył się odrazu. Odbicie drzew zielonych pomieszało się z niebieską wodą, w której płynęła sobie moja matka, białe sierpy fali ramionami i nogami odpychając. Zapłakałem straszliwie, pewien, że jej już nigdy nie zobaczę, że tonie, że ją nam żołnierz zabiera. To też, mimo, że był w niebieskiej, mundurowej bluzie, biłem go pięściami, szarpałem i darłem za spodnie.

Zabulgotało na całym stawie. Z różnych stron przypływać jęły ku nam panie w różowych kostjumach. Żołnierz natychmiast przyciągnął matkę do schodów. Pamiętam, jak dziś, że kucnąwszy, wzięła mnie w śpieszne, mokre, wodą spływające objęcia. Poszliśmy do kabiny po torebkę z chustką do nosa. Płakałem jeszcze przy poręczy stawu. Panie stały dokoła. Nakoniec matka wyjęła z torebki mały pularesik i dała mi na pociechę nowiuteńkiego centa.

— Całego, prawdziwego, nowego centa, — krzyknęły panie razem.

Był rzeczywiście nowy. W słońcu błyszczał. Po rzeźbionej jego jedynce spłoziło się światło do góry i wdół. Trzymałem go w ręce, pilnując końca wędy, na której znowu odbywało się pływanie.

Cent zaczął się pocić. Od mocnego uścisku tak

mi się grzała dłoń, że musiałem miedziaka przekładać z ręki do ręki, by się nie wyślizgnął i nie uciekł.

Gdyśmy wrócili do domu i siedli do obiadu, cent poszedł razem ze mną do stołu. Leżał „wiernie" przed moim talerzem na białym obrusie. Leżał i świecił.

Ojciec, wysłuchawszy całego wypadku, powiedział po zupie:

— Więc nagle, tak ni stąd, ni zowąd, masz całego centa?!

Zarumieniłem się z dumy.

— Pierwszy to raz chyba zdarza się na świecie — mówił ojciec, — żeby taki mały chłopiec miał już swoje własne pieniądze! Będziemy się musieli nad tem poważnie naradzić.

Narada odbyła się po obiedzie na bujaku. Prowadził ją wskazujący palec ojca, rozumnie nad nosem uniesiony. Okazało się, że „sprawa bynajmniej nie jest tak prosta, jakby się na pierwszy rzut oka zdawało". Mój cent mógł kupić cukierków z sokiem, — za centa. Mógł kupić dla mnie tureckiego miodu, — za centa. Albo śliwkę cukrzaną na patyku. Albo figę. Albo makagiga.

Nie spodziewałem się, że jestem tak bogaty.

Można było też za niego dostać różnych „stałych" przedmiotów.

— Trwalsze to o wiele od jedzenia. Bo cóż? Zjesz i zapomnisz. A przedmiot nie przeminie i będzie sobie trwać.

Za centa można mieć farbkę żółtą, białą, zieloną,

cielistą, granatową. Karmin niestety kosztował już dwa. Można też dostać nici, co prawda kiepskich,— ale zawsze nici.

Z tego wszystkiego wynikło nareszcie, że można centa wydać odrazu na jedzenie, czy też na jakiś przedmiot, albo można go schować i zaoszczędzić, — żeby sobie rósł....

Nie rozumiałem, jak będzie róść? Którędy?! Wierzyłem wówczas, że jedyną rzeczą, która naprawdę może róść, jest chleb świętojański. Chleb świętojański rósł, bo miał pestki. Pestki „zasadzało się" w ziemię i po kilku dniach wypuszczały białe korzonki. Cent nie miał pestek.

Wątpliwości te śmiało obalił mój ojciec. Cent wyrośnie, — niech tylko ma spokój, ciemno, ciepło i niech nie będzie sam. Nie może mu się nudzić!

— Gdzież cent może mieć spokój, ciemno i gdzie się może nie nudzić?

Uznałem, że pod dywanem. Ojciec uważał, że nie, że miejsce takie czeka na mego centa w skarbonce.

— Jeżeli go nie wydasz, — powiedział z namaszczeniem, — a postanowisz zaoszczędzić. W skarbonce sobie wypocznie, potem się zagrzeje, inne centy a może nawet guldeny zaczną go namawiać, żeby się raczył pocić. Choć my, ludzie, nie będziemy tego widzieć, cent pociemku zacznie się pocić, grubieć, aż z jednego zrobią się dwa, trzy, cztery, pięć, dziewięć. Może dziesięć? Wtedy stanie się niklowym.

Niklowy wysiedzi srebrnego. Srebrny wysiedzi już cały wielki placek, to znaczy guldena.

— Ale potem, dalej, nic się już nie da wysiedzieć?

— Potem, gulden, — przewidywał ojciec, — jak dobrze zasiądzie, dobrze się zastanowi, może wygrzeje dukata?!

— Za sto lat?!

— To zależy od tego, czy mu się nie będzie nudzić.

— A co cent wysiedzi za miesiąc?

— Za miesiąc już może tak zgrubieć, że się z niego dwa zrobią. Wtedy już będzie można kupić karminu. A po kilku miesiącach może kilka karminów?...

Tłumaczenie to trafiło mi odrazu do przekonania. Widziałem przed sobą dwie drogi: Drogę rozkoszy, gdybym sobie kupił cukierków, lub drogę rozsądku, jeżeli centa schowam do skarbonki.

A tu jeszcze do tego ta skarbonka!

Stała zawsze na biurku, obok kałamarza, przy kościanym sztylecie. Grzechotały w niej srebrne guldeny, szeleściły papierki, były tam podobno także złote sztuki, ale były i zwykłe „proste" centy.

— Posłuchaj, — zawołał ojciec, wstrząsając mi skarbonkę nad uchem, — drobne szemranie tuż przy ściance, — słyszysz?... Takie niecierpliwe. Małym pieniądzom zawsze się tak śpieszy, — jak dzieciom.

Była z wypalonej gliny, prawie tak duża, jak ludzka głowa. Miała nawet wszystkie ozdoby głowy,

ztyłu włosy, zprzodu twarz uśmiechniętą, nadzwyczaj podobną do subjekta, który na dole, w naszej kamienicy, w sklepie „norymberskim" sprzedawał „zawsze" nici.

Zawsze, — bo ile razy przyszliśmy tam z matką, on właśnie dawał wszystko.

Był zupełnie podobny do naszej skarbonki. Taki sam rozdziałek, takie same żółte, błyszczące czoło, czarne brwi, oczy pilnie przed siebie utkwione, ta sama łatka światła na ziemniowatym nosie, usta czerwone, grube, od ucha do ucha, z czarną szparą pomiędzy zębami.

Nazywał się Zimler, jak skarbonka, którą rodzice także nazywali Zimlerem.

— Jeżeli ci naprawdę o to chodzi, — zakończył przemowę ojciec, — możesz swemu centowi pomóc i w inny sposób. Wszyscy rozsądni ludzie tak właśnie robią. Cent będzie się mnożyć w skarbonce, a ty mu z „zewnątrz" dopomożesz pracą. Wtedy wszystko pójdzie o wiele prędzej.

Matka nigdy się nie godziła na ów gatunek pracy, za który nam wówczas poczytywano łapanie molі. W danym jednak wypadku ojciec bardzo popierał ten rodzaj zarobku.

— Więc, jak uważasz, synu?

— A więc, — odpowiedziałem, — schowam! Tego centa schowam.

Wrzucenie centa odbyło się dosyć uroczyście. Musiałem z biurka przynieść grzechoczącego pieniędzmi Zimlera, spokojnie go postawić na stoliku od

kawy. Ojciec „na wszelki wypadek" radził mi raz jeszcze namyślić się. Krzyknąłem zapalczywie, że to już niepotrzebne.

Nie było potrzebne. W moich myślach, w sercu kipiało całe mrowie przyszłych, nowych centów, nad któremi w oddali jakichś prędkich stu lat świecił, niby słońce, — okrągły dukacik.

Tymczasem Zimler wciąż czekał obok niebieskiej filiżanki. Na nosie błyszczała mu ta sama łatka światła, między wargami czernił się gęsty cień, nęcąc i ciągnąc niejako centa mego do środka.

— A więc? — zawołał ojciec z palcem wzniesionym do góry.

Rzuciłem miedziaka jednym śmiałym ruchem, Zimler go połknął najspokojniej w świecie.

Muszę to odrazu zaznaczyć: gliniany Zimler, którym przedtem nieraz poniewieraliśmy, którego tyle razy w wyprawie do niezbadanych źródeł świętej rzeki tulaliśmy po dywanowym Nilu, wydał mi się teraz szanowniejszym, ważniejszym a równocześnie słabszym i jakby bardziej kruchym. Bo teraz w jego środku, mając ciepło, ciemno, leżał i chyba odrazu się pocił mój przyszły karmin, może scyzoryk, może nawet piórnik, — mój nowy miedziany cent!

— Czy już urósł trochę? — pytałem po chwili.

Na drugi dzień rano pobiegłem co żywo zajrzeć w twarde oczy skarbonki. Byłem bowiem pewien, że już przybyć tam trochę musiało. Przybyło centowi,— może tylko niewidoczny dla wzroku paseczek, — ale napewno przybyło.

Ludzie mówią, że oszczędność pobudza pracę. Jest to słuszne. Słowa ojca mego wcale nie poszły na marne. „Pocącemu" się w środku centowi zacząłem pomagać z „zewnątrz". Prowadziłem teraz po całych dniach wielkie polowania na mole. Za szafą, pod stołem, w naszej „dzieciarni", we wszystkich okolicach dywanu.

Była to praca ciężka i niebezpieczna. Ciężka, bo trzeba było odsuwać sprzęty, niebezpieczna, bo tak łatwo zbić się coś mogło po drodze. Ciężka, niebezpieczna a najeżona tylu prawnemi trudnościami.

Ponieważ wiele razy nadużywaliśmy zaufania ojca, który sumiennie płacił pół centa za dwadzieścia moli (za dwadzieścia, bo do więcej nie umiałem był wtedy jeszcze rachować), przeto mól zabity „nie liczył się", o ile ktoś poważniejszy nie poświadczył jego śmierci.

Jakże tu znaleźć tego poważniejszego? Brat za brata świadczyć nie mógł, — jako stronny.

Kobiety nie były dobremi świadkami. Matka pogardzała naszą krwawą pracą, kucharka Filipina nie chciała się nawet ruszyć z kuchni, odpowiadając niezmiennie, że świadek dostaje — „w to, co wisz".

Pozostawał więc tylko stary służący Tomasz. Przyznać trzeba, że był świadkiem poważnym, prawdomównym. Posiadał cnoty, które oblekały go jakby rządową surowością. Służył kiedyś w wojsku, nosił bokobrody. Był dzięki nim podobny do cesarza. Gdy świadczył naprzykład, że widział, na trochę, na małą ociupinkę, jakby sam cesarz świadczył. Nawet,

gdy swiadczył, że nie widział, — podobieństwo do cesarza nie zmieniało się wcale!

Ubłagać Tomasza na świadka było rzeczą niezmiernie trudną, gdyż polowanie przeszkadzało zawsze sprzątaniu.

— Mole ci tylko w głowie, — odpowiadał na prośby, jeżdżąc szybkiemi szczotkami tam i zpowrotem po posadzce.

Z powodu niechęci Tomasza praca moja nie odnosiła pożądanych wyników. Zabijałem, zabijałem, nie mając z tego żadnej prawie korzyści.

Nie dziwota, że w tych tak ciężkich czasach nieraz zazdrościłem naszemu Zimlerowi. Czyż nie byłoby lepiej być poprostu skarbonką?! Muszę gonić, szukać za kanapą, dłubać w grubych sprężynach foteli, — Zimler z wesołą łatką światła na nosie śmieje się spokojnie pomiędzy kałamarzem a kościanym sztyletem! Ja się pocę, trudzę, — a w nim dlatego, że jest ciemno, ciepło, — centy same się mnożą i grubieją.

Na co wtedy chciałem zbierać tyle, tyle pieniędzy?... Nie wiem dotąd, tak samo, jak sądzę, iż najbogatsi ludzie nie wiedzą nigdy, gdzie to właściwie chcą, by ich bogactwa wiodły i prowadziły. Cel moich marzeń ciągle się zmieniał, może właśnie dlatego, że go zawsze obliczałem w centach. Raz chcę biednemu druciarzowi uskładać na buty. Potem chcę uciułać na kolej nakręcaną. Potem na wielkie papierowe pudło dużych ciastek z kremem. Potem na hełm strażacki. Ale cóż? Jedno po drugiem — buty, ciastka, kolej, jakby się łuszczyć zaczynały cen-

tami, rozdwajać, potrajać, — póki się znów z tego nie usypała jedna wielka kupa nowych, gładziutkich centów.

Za tę kupę centów wszystko można kupić — prócz jednej rzeczy!

Prócz ślicznej małej tacy, uwitej ze złotych kwiatów, która stoi w salonie pod lustrem.

— Dlaczego jej kupić nie można?

— Bo nie można, — odpowiedziała matka.

— Ale dlaczego?

— Bo to jest nasza dawna, stara pamiątka.

Bębniłem w nią palcami, próbowałem smaku. Śniła mi się po nocach. Już nawet udawałem, że jest moja, ale naprawdę udać się nie dało.

— Dlaczego nie można jej kupić?

— Bo nie wszystko na świecie jest do kupienia, — odburknęła matka, rozczesując przed lustrem piękne, długie włosy.

— Ale gdybym uzbierał naprawdę dużo pieniędzy?

— Nie uzbierasz.

I oto na tej właśnie drodze chciwości i pożądania doszedłem do prawdziwej zbrodni, a potem nad smutną, czarną przepaść prawdziwej katastrofy. Zbrodnia była bezkrwawa, lecz dotąd w sercu blizny po niej noszę, katastrofa jakże żałosna!

Było to akurat po imieninach naszego katechety. Poszliśmy do niego na Mały Rynek w nowych ubraniach z białemi krawatkami pod szyją, prowadzeni przez dzielnego Tomasza. Na Małym Rynku, na dru-

giem piętrze, w niskich pokojach na rogu piliśmy słodkie wino, klerycy w drzwiach śpiewali, a gdy się zmierzchło, pokazał nam ksiądz wszechświat.

Była to kula granatowego szkła, usiana paciorkami, dokoła wątłym pasmem srebra przepasana. W środku, niby maluśkie rozżarzone serce płonęło nikłe światło.

— Otóż to światło w środku, — mówił katecheta, — to właśnie ziemia nasza, paciorki będą gwiazdy, a tu jest droga mleczna z planet, białych jak mleko.

Wszyscyśmy ucichli, gwiazdy się kręcić zaczęły, pas drogi mlecznej jechał wolno wgórę a ze środka kuli wypłynęła cicha muzyczka.

— Ile taki wszechświat kosztuje? — wykrzyknąłem z zapałem.

Ksiądz mnie pocałował i, wyszorowawszy szorstkiemi policzkami, odpowiedział z dumą:

— Kosztował, mój synu, chyba całego dukata.

Wszechświat ten nakręcało się małym złotym kluczykiem.

— Jeżeli ja nakręcam kluczykiem, to jakiegoż klucza, — uczył nas katecheta, — używać musi Pan Bóg, by codziennie na noc i na rano nakręcić gwiazdy, słońce i wszystkie księżyce?!

Nie kupiłbym „wszechświata", bo to się złamać mogło a nakręcenie nie było takie proste. Ale żeby można choćby za dukata dostać naszą tacę?! Dla niej przecież właściwie odbywały się wszystkie polowania, dla niej musiał się pocić w skarbonce mój miedziak. Gdyśmy wrócili z imienin katechety, opo-

wiedzieli o wszechświecie i o wszystkiem, jak było, oświadczyłem, że chcę mieć dukata, — by „sobie kupić jedną rzecz".

— Jaką rzecz? — spytała matka, kołysząc się na bujaku.

— Tacę.

— Tacy nie można kupić. To pamiątka. Nasza pamiątka, twoich rodziców, twego ojca i matki.

— Za całego dukata!

— Nie chodzi wcale o pieniądze. Taca jest pamiątką naszej młodości.

— Ale dukat jest złoty!

— Tymczasem taca ta jest tylko pozłacana, — zauważył niecierpliwie ojciec.

Z chciwości ślina mi napłynęła do ust. — Dukat jest złoty, — krzyknąłem.

Matka zaczęła się śmiać. — Wszystko jedno, czy złoty, nie sprzedamy ci przecież tacy. Wstydziłbyś się napewno kupować cokolwiek od własnych rodziców.

— W takim razie, — pamiętam, że gdym to mówił, szarpnęło się coś we mnie, jakby zwierz dziki skoczył z miejsca na miejsce, — w takim razie zaczekam. Wezmę ją sobie, jak umrzecie.

Matka zatrzymała bujaka. Nikt nic nie odpowiedział. Popatrzywszy ogromnemi oczami, spytała po chwili:

—Jak umrzemy?

Ojciec wstał, przeszedł parę razy po salonie,

powtarzając raz po raz, — ho,-ho,-ho. Ho,-ho,-ho. — Poczem stanąwszy na środku dywanu, zawołał:

— Kto wie, za dukata możebym ci sprzedał?... Ale czy potrafisz czekać tak cierpliwie? Ileż lat będzie musiał grubieć twój mały cent, by wysiedzieć złotego dukata? Pomyśl tylko sam.

Musiałem o tem myśleć naprawdę sam, jemu się ani śniło martwić — Zimlerowi. Stał spokojnie na biurku, przez otwarte drzwi salonu widać było łatkę światła na nosie i cień w szparze uśmiechniętych ust. Jakby to wcale nie o niego chodziło.

— Tak, za dukata, — powtórzył ojciec, — sprzedałbym może tę tacę, kto wie?

Któż więc wyobrazić sobie zdoła moją radość, gdy po kilku tygodniach nadszedł mój dzień imienin i gdy dostałem od ojca prawdziwego dukata.

Oto śliczny ranek kwietniowy, oto nad rynkiem niebo czyste, błękitne i lekkie, jakby od lada powiewu zerwać się miało, by wyżej gdzieś jeszcze polecieć. Oto się prędko ubieram a wszystkie sęki podłogi mrugają do mnie spękaną źrenicą. Oto idę „jakby nigdy nic" do pokoju rodziców a tymczasem każdy mój krok huczy imieninami.

Rodzice siedzą pod oknem, piją kawę z niebieskich filiżanek. Za nimi, w głębi na rynku wszystkie białe maszkary Sukiennic śmieją się uroczyście. Matka zmrużyła powieki i patrzy, — jak mówiliśmy wtedy, — swoim wzrokiem dalekim.

Objęliśmy się mocno, widzę tuż przed sobą dobre, kochane twarze, czuję na plecach ramiona imie-

ninowego uścisku. Stoję jeszcze przy stole aż tu ojciec strzepuje z serwetki na obrus dukata!

Złoty krążek cichutko zadzwonił, przebiegł między solniczką a masłem i spoczął grzecznie na brzegu serwety.

— To dla ciebie na imieniny, — ojciec pocałował mnie w czoło, — zrobisz z nim, co ci się będzie podobało.

Ucieszyłem się *szalenie!* Tylko to jedno słowo odtworzyć zdoła taką radość.

— Namyśl się, co zrobisz. Możesz przedewszystkiem, skoroś tak bardzo chciał, kupić od nas tacę. Będzie nam przykro rozstawać się z tak miłą pamiątką, ale jeżeli nam dasz zarobić całego dukata?... Bądź co bądź taca jest tylko pozłacana...

Słuchałem niespokojnie.

— Możesz także, — znów palec wskazujący zaczął prowadzić naradę, — nic nie kupować. Poprostu mieć złotą monetę dla własnej zabawy. Oczywiście, nie wolno nawet dukata brać do ust. Ale możesz się nim bawić. Obawiałbym się w tym wypadku tylko jednego: że go zgubisz. Możesz go też oddać Zimlerowi?! Jak miedzianego centa. Dukat w cieple, w cichości, w towarzystwie innych pieniędzy zacznie się pocić, grubieć i kto wie, czy drugiego nie wysiedzi? Cóż ty na to?

Słuchałem z prawdziwą niechęcią. Gdzieś daleko pod spodem mego szczęścia czułem już nawet pewną złość do ojca. Przeszkadzał mi temi wszystkiemi radami. Gdy się nareszcie przemowa skoń-

czyła, poszedłem cieszyć się pod fotel. Dukat leżał sam jeden na wielkiem, aksamitnem siedzeniu, a ja, naprzeciw niego, cieszyłem się, tyle jednak równocześnie trosk już przeżywając!

Czy go naprawdę mogę poprostu zgubić? Taki przedmiot pamięta się i trzyma mocno w garści. Czy go oddać za tacę? Cienka, pozłacana... Takie marne głupstwo służy jako pamiątka. Powinni byli mieć odrazu złotą. Nie kupię już karminów. Pocóż mi aż tyle?

Żeby schować do Zimlera?... I wtedy oświeciła mą duszę ta myśl ohydna: jeżeli nawet wysiedzi drugiego, — ojciec mi nie odda! Nikt nie pozwoli, bym miał odrazu dwie złote a tak ważne monety!

Nie było wcale radości pod fotelem. Zato gdy pokazałem starszemu bratu. Błagał, bym mu dał dukata choć na chwilę potrzymać. Kazałem długo błagać a potem nie dałem. Pozwoliłem tylko patrzeć i to bardzo krótko.

— Przecież ci nie ubędzie.

Odpowiedziałem, że „właśnie" ubędzie.

— Ubędzie, — krzyknął ze złośliwym triumfem, — bo i tak wkońcu zgubisz.

Ale zato gdy pokazałem starej Filipinie?! Aż się zatrzęsła z gniewu.

A Tomasz?

— Możesz sobie, — powiedział, — zawiesić teraz na kołku swoje polowania; za dwa lata tegobyś nie wyrobił.

Przypatrzył się nabożnie dukatowi, spróbował go na zębie i, wzruszywszy ramionami:

— Tylko widzisz, że co? Że ty go zgubisz zaraz.

Wszyscy się bali, że zgubię i wszyscy mi odrazu coś innego radzili. Radzili co mam zrobić, że mi się w głowie od tych rad mąciło. To, tamto i dwudzieste.

— Może już zgubiłeś, — ucieszył się wuj Gucio, który przyszedł na obiad. — Zaręczam ci, żeś zgubił!

Krew mi uderzyła do głowy. Nie miałem dukata w rękach, nie leżał nigdzie, nie było go w kieszeniach. Rzuciłem się na Gucia z pięściami. Gucia, którego zawsze takeśmy bardzo kochali, obszukałem skwapliwie, wyrzucając mu portfel, szczoteczkę do wąsów, ołówek i notes na podłogę.

— Rewidujesz mnie, — mówił, śmiejąc się wyniosle, — jak prawdziwego złoczyńcę.

Płakałem „na cały dom". Tymczasem dukat się znalazł. Był! Owinięty w płócienko leżał w kieszeni na piersiach. Przy wszystkich świadkach znalazł go Gucio u mnie.

— Sam go przecież zawijałeś w gałganek.

Prawda!

Ojciec pokiwał głową, rzuciłem się Guciowi na szyję a odzyskanego dukata pocałowałem „w czoło", to jest w prawą stronę z rycerzem.

— Widzisz, już go całujesz,—zauważył ojciec,— a mówiłem, żeby nie dotykać ustami. Pieniądze nigdy nie są całkiem czyste.

Poszliśmy na obiad.

Obiad składał się z najulubieńszych moich po-



traw: — Zupa grochowa z sucharkami. Kotlety z buraczkami. Ryż ze śmietaną i z konfiturami.

Ale czy mogłem jeść? Nie mogłem. Gucio był coraz bardziej pewien, że go zgubię.

— Jeżeli już w przeciągu paru „marnych" godzin zaszedł taki wypadek, jak dziś przed obiadem, to mi wolno przypuszczać, że za kilka dni dukat się znajdzie *poprostu* na dnie Wisły.

Ojciec nie widział „tych wszystkich spraw" aż tak czarno, był jednak ciągle za powierzeniem dukata Zimlerowi. Oczywiście, jeżeli *przypadkiem* nie zechcę kupić drogiej moim rodzicom pamiątki, to znaczy tej świetnej tacy, która czeka cierpliwie pod lustrem.

Z jak podstępnym naciskiem powiedział słowo „świetnej". Miałem na niej stracić połowę dukata!

Tak przeszedł cały obiad. Pili sobie jeszcze czarną kawę, nam pozwolono już wstać.

Starszy brat nie chciał teraz wcale ani błagać, ani chociażby tylko, „żeby razem być". Siedziałem sam pod bujakiem i patrzyłem, jak ojciec miesza kawę łyżeczką.

Patrzyłem na niego z ukrytą nienawiścią. Oddać dukata teraz do skarbonki, żeby go nigdy więcej nie zobaczyć...

Poszedłem do drugiego pokoju naradzić się z samym Zimlerem. Ale Zimler, — jak Zimler. Łatka światła błyszczała mu na nosie, oczy patrzały prosto na odbitkę Grunwaldu Matejki, w głębi warg uśmiechniętych ciągnął się gęsty cień. Tam za tym cieniem

jest ciepło, ciemno, cicho, tam się pieniądz nie nudzi i siedzi!

Właśnie śmiać się znów z czegoś zaczęli wszyscy przy czarnej kawie. Nie wiem dlaczego, — wziąłem wtedy dukata i bez chwili namysłu jednym mocnym łykiem połknąłem.

Sam sobie będę skarbonką!! I kto teraz powędruje na dno Wisły? Chciałem to przedewszystkiem „za karę" powiedzieć Guciowi. Ciągle rozmawiał, — nie można było zacząć. Dopiero, gdy wychodził, w samych drzwiach przedpokoju. — Żebyś wiedział, Guciu, nie ciesz się: dukat jest tu!!

Przytem wypiąłem brzuch.

— Co?! — krzyknął Gucio.

— Teraz mu będzie dobrze, — rzekł poważnie Tomasz, wyprostowany w drzwiach.

Gucio odłożył kapelusz, laskę, rękawiczki, wziął mnie za rękę i, wołając przez wszystkie pokoje, — połknął, połknął, — zawrócił do ojca.

— Wyobraź sobie, — rzekł, — twój syn połknął dukata.

Matka zerwała się z krzesła. Ojciec popatrzył na mnie, podniósł wgórę brwi, wysunął z nich groźnie na pokój palec wskazujący i wyrzekł jedno krótkie słowo:

— Rycynus!

Matka pobiegła do szafki, zawołała na Tomasza o piwo, nawet jeszcze zdążyła na dnie filiżanki z czarną kawą przygotować „kanarka". Ale ojciec stanowczo:

— Żadnych piw. Żadnych kanarków. Zwykły goły rycynus. Goły!!

Rycynus pod dowództwem samego ojca, bez słowa litości, bez udziału, pomocy, obietnic i uśmiechów matki, rycynus do wypicia ze szklanki, gdy nikt człowiekowi dziurek od nosa miłosiernie nie ściśnie. Goły rycynus, zakończony spokojnemi słowami:

— Usta sobie wytrzesz cytryną.

Usta sobie wytarłem cytryną i czekałem w pokoju ojca, — płacząc gorzko.

W swoim czasie, po przeszło dwóch godzinach, mierzonych na zegarku, wszyscy zostali wezwani do sprawy. Wszyscy, których mą pychą z chciwości płynącą upokorzyłem w ciągu tego dnia. Wszyscy, prócz kobiet, — prócz twojej biednej matki, przed którą zapewne zginąłbyś ze wstydu. Prócz starej Filipiny, której siwe włosy zasługują na należny szacunek.

Powiedziawszy to, dodał ojciec, w ostatniej niejako chwili, jeden zwięzły wykrzyknik: — Ha, trudno!!

Gucio siedział na krześle z kapeluszem, laską, rękawiczkami w rękach, stroskany Tomasz, przygotowawszy niewybredne instrumentarjum, potrzebne przy zażyciu rycynusu, ponuro się ode mnie odwracał. Mój starszy brat, na biurku taca i wesoły Zimler, — byli wszyscy.

Błagałem, by się to jakoś mogło odbyć w komórce, lecz nadaremnie, — chodziło przecież o naukową pewność.

Więc się odbyło na oczach wszystkich: Tomasza,

Gucia, Zimlera i brata. Z moich biednych wnętrzności wypadł nareszcie imieninowy dukat.

— Oto koniec chciwości, — rzekł ojciec, —prawdziwie nędzny koniec.

— Że nawet szkoda, proszę łaski pana,—stwierdził godnie Tomasz.

Wszystkie okna mieszkania szeroko otwarto, jak po wielkiem nieszczęściu. Wszyscy się ze mną znowu pogodzili i wszyscy obiecali nie mówić nigdy więcej o dukacie.

W parę tygodni po tym smutnym wypadku, pewnego wieczora, gdy słońce zachodziło za ratuszową wieżą, złocąc kamienne listwy brunatnych Sukiennic i gdy jaskółki latały, jak zwykle, szerokim, głośnym wieńcem wokoło wianuszka wielkiej, Marjackiej wieży, zawołał nas ojciec do siebie. Siedział przy biurku. W jednej ręce trzymał lśniącą głowę Zimlera, w drugiej kościany sztylet.

Matka z wesołym uśmiechem huśtała się cicho na bujaku.

— Otóż, moi chłopcy, — ojciec zwrócił się do mnie, — widzieliście, że cały rok odkładałem do tej glinianej pałki tak zwane oszczędności. To znaczy, wszystko, co zostawało mi z zarobku po opędzeniu kosztów na życie całego naszego domu. Możeby istotnie było dobrze odkładać tak z roku na rok. Ty wiesz przecie, — tu znów przemyślnie zwrócił się tylko do mnie, — jak bardzo lubią pieniądze swoje własne towarzystwo. Przypuszczam, że odkładając

tak, zapewnilibyśmy sobie starość a wam spokojne i wygodne studja.

Odwrócił Zimlera twarzą w stronę biurka i przesuwając sztyletem między uśmiechniętemi wargami skarbonki, jął wyciągać poszczególne monety.

— Ale, moi kochani chłopcy, o to właśnie chodzi, że ta pałka, ten „cały głupi" Zimler, stojąc tu na tem biurku i czekając na moje oszczędności, najniepotrzebniej w świecie przypomina mi rzeczy, o których nikt z przyjemnością nie myśli. Starość nie jest wcale tak znów arcymiłą rzeczą. Bynajmniej się też nie śpieszę do tego, byście tak prędko mieli wyrastać z wieku, w którym, co prawda zaledwie jako tako, ale przecież można sobie jeszcze z wami dać radę.

I dlatego, — przez słowa te leciał coraz bystrzejszy deszcz srebnych pieniędzy, — postanowiłem wypompować z pana Zimlera wszystko. Za to, co pan Zimler raczył przechowywać przez cały rok, postanowiłem zrobić nam, waszym rodzicom, jakąś przyjemność.

Po tym wstępie trzasnął ojciec rączką sztyletu w rzeźbiony rozdziałek Zimlera. Głowa się rozleciała, w skorupach zaszeleściły papiery a ojciec z okrzykiem „co za ulga", — prawił dalej:

— Jakąś przyjemność. Mianowicie postanowiliśmy odbyć podróż. Wy będziecie przez całe lato u babci. Matka wasza, która nigdzie dotąd nie była, zobaczy szeroki świat i odetchnie trochę innem powietrzem.

— Tak, tak, mój stary durniu, — kończył nasz

ojciec przemówienie, niewiadomo, czy do siebie, czy do skorup Zimlera kierując wesołe choć ubliżające słowa.

— A mój cent? — krzyknąłem stroskany.

— Twój cent? No więc jakto, nie widzisz?! — Ojciec wybrał z kupki dużą, niklową monetę i podał mi ją uprzejmie. — Patrz, co wysiedział twój cent. Doskonała rzecz taki nikiel, choć przyznam ci się otwarcie, że wolałem twojego dukata. Kto wie, czy jemu właśnie nie zawdzięcza teraz Zimler swego fatalnego końca. Moglibyście sobie podać ręce, Zimler z pewnością nie czuje się lepiej, niż ty po rycynusie.

Rodzice wyjechali w szeroki świat, odetchnąć trochę innem powietrzem, — myśmy lato spędzili na wsi u babki, niklową monetę oddałem do schowania Tomaszowi.

Na jesieni spotkaliśmy się w Krakowie w naszem przez tyle miesięcy zapomnianem mieszkaniu. Na stole już czekały nakręcone pociągi, ojciec miał nowy płaszcz w kolorową kratę, nowe trzewiki skrzypiące ślicznie „po zagranicznemu" a matka suknię, która się mieniła trzema kolorami.

— Patrzcie tylko, — wołał głośno ojciec, — jak się wybornie spisał ten nasz poczciwy Zimler? Wszystko — on. On — pociągi. On — suknię mieniącą. On — dalekie tyrolskie góry.

On góry, on — przeczyste, zimne jeziora, do których matka wrzucała cukierki, patrząc i widząc, jak „osiadają" między kamykami.

Byliśmy tak szczęśliwi, ja się „tak strasznie cieszyłem", że pobiegłem zaraz do naszego Tomasza, by mi oddał mój pieniądz niklowy. Ale u Tomasza nie umiała niczego wysiedzieć błyszcząca niklówka. Zapewne dlatego, że był biedny, — nie miała towarzystwa.

To nic!

Wziąłem ją i choć nigdy dotąd do sklepu nie chodziłem sam, zleciałem nadół do naszej kamienicy, gdzie był sklep norymberski.

Żeby kupić „z radości" dla matki najlepszych nici D. M. C.

Gdy mnie ogarnął ścisk tylu pań nieznanych, gdy podszedł do mnie prawdziwy pan Zimler z łatką światła na nosie, z cieniem w szerokich ustach i z metrem, sterczącym w kieszeni, — zapomniałem, czego chcę.

Gdy mi nareszcie Zimler zawinął te nici, okazało się, że nie mam niklówki. Wyśliznęła się widocznie ze spoconych palców, może się gdzieś pod ladę zatoczyła?

— Nikt tu kawalerowi, — rzekł uprzejmie pan Zimler, — tej niklówki nie zje. Jeśli tylko znajdziemy, zaraz odeślemy na górę.

Ale nie odesłali, wcale nie znaleźli, może dotąd tam leży, gdzieś w starym, ciemnym sklepie. Gdybym ją miał, możeby mi wrócił dawny prosty sposób porania się z pieniędzmi. A tak, jakby na zawsze coś się już przerwało i ciągle stoję na tem samem miejscu.

III

Wniosek

Ani siebie nie umiem osądzić, ani starszych, ani nawet własnych rodziców.

Czy się dobrze stało, że nie czekali, by im gliniany Zimler zbierał grosze na starość?

Nie trzeba niczego ukrywać, każdy z naszych bliskich wie przecież, że wkońcu przyszła kiedyś taka jesień i taki ciemny, srogi głuchy dzień, w którym wszystko sprzedać trzeba było i nasz fortepian i meble i nawet pozłacaną pamiątkę młodości, tę starą cienką tacę, co tak cierpliwie czekała pod lustrem.

A co do mnie samego? Nie powinienem skrywać, żem się wcale nie dorobił. Jestem raczej biedny, niż bogaty, pieniędzy trzymać nie umiałem, „Zimlera" u siebie w domu nigdy nie zaprowadziłem.

Czy ich szanować nie umiem dlatego, że chciwość moją kiedyś tak srogo ukarano, czy że za ostatnią niklówkę zaraz dary kupować pragnąłem?... Sądzę, że nie dlatego, ani dla tamtego, lecz, — tu odgadniemy pewną tajemnicę:

Nie umiem szanować pieniędzy, bom pierwszego centa dostał za skarby, złotym i brylantowym majątkiem nawet nie kupione, — za łzy miłości i największego na świecie przywiązania.

Tak, tak, — przez całe życie grosza się dobrze doliczyć nie mogę. Zgoda na to, zgoda. Ale myślę, że może dlatego całe życie pamiętam objęcie mat-

czyne, świeżą wodą poranku spływające. Sądzę, że właśnie owa pamięć wróży mi ciągle jeszcze jak najlepszą przyszłość.

A Zimler? Jak to Zimler. Uśmiecha się w najróżniejszych miejscach najróżniejszych krajów, z za każdej lady nęci gęstym cieniem, skrytym w szeroko rozciągniętych ustach.

IDĄ ŚWIĘTA!

Pytam się, gdzie jesteś, stary Kubo, woziwodo?

Cały dzień przed Bożem Narodzeniem, pod kościołem świętego Wojciecha, naprzeciw zmarzniętych Sukiennic toczyłeś w studni wodę, która brylantowym kołkiem wpadała do głuchych konewek. Słyszeliśmy, jak srebrną pletwą bryzgów chlapiąc po czarnych schodach, szedłeś opieszale, a potem szumne strugi chlustałeś w wielką kadź, za kuchnią w ciemnej sieni.

A potem siedziałeś brodaty, siwy, omszały i duckałeś piętami w malowane na komodzie Filipiny kwiaty. I oddychałeś tak mądrze, tak troskliwie!

Mój starszy wiedział napewno, że podobny jesteś do Pana Boga i gdybyś chciał, mógłbyś zostać ojcem całego świata, — tak byłeś stary.

Pytam się, gdzie jesteś czcigodna Filipino, perło wszystkich kucharek?

Czy jeszcze pracują twoje znakomite dłonie, czy jeszcze umieją tak klepać wymieszone ciasto, jak wte-

dy gdyśmy byli dziećmi, — że smak od tego głosu rozpływał się w powietrzu? Czy twoje usta, strzeżone jedynym lecz samodzielnym zębem, umieją jeszcze wypowiedzieć słowo „cebulka" tak, by od tego w całej kuchni klasnęło? Czy drukowanym świętym na niebie twego kufra nie zawróciło się w głowie od słodkiego zapachu małych rajskich jabłuszek?

Ciemny, czcigodny kufrze Filipiny, czy pamiętasz wszystkie gładkie wstążki, któreśmy na twoich sznurowanych piętrach tyle razy głaskali?

Czy przekładana politurowanemi obrazkami książka do modlenia śpi jeszcze w okutym rogu skrzyni, obok ciężkiego sznura wielkich jak bób korali?

Pytam się, gdzie jesteś śniegu owoczesny, lżejszy od wszystkich marzeń spełnionego świata i gdzie jesteście wy, sosnowe lasy pod Sukiennicami i wy, godni sprzedawcy w piernikowych kożuchach, tłukący się od zimna po wypchanych, jak pierzyny, ramionach, w sinym obłoku mrozu?

I pytam, czy między wami, — pniami, drzewami, długiemi gałęziami potrafi jeszcze sam jeden, samiusieńki płatek świeżego śniegu przelatać wolno z zielonej igły na drugą igłę zieloną, podczas gdy z ratusza bije dwanaście razy samo południe.

Pytam się, czyś został na świecie wielmożny kwadracie posadzki, z którego późnym wieczorem wykwitnie nasze drzewko?

Czy potraficie jeszcze o tem myśleć wy, stare, morelowym aksamitem obciągnięte fotele? I kto

wam teraz plecie niecierpliwe warkocze z długich, kosmatych frendzli?

Kto pod fortepianem chowa się zabiegliwie i nasłuchuje pilnie żywych kroków anioła?

Dla kogo milczą teraz białe, zamknięte drzwi i kto z nich zmazać usiłuje smugę lakierowanego połysku, — by potem stał się cud? Pytam, gdzie odszedł dzwonek, pytlujący pośpiesznie u drzwi?

Tuśmy się wszyscy od stołu nagle zerwali!

Gdzie płynie teraz radość naszych serc i komu teraz świecą niebieskie oczy mego ojca? I kto pamięta skronie mojej matki, oplecione małemi żyłkami?

Gdzie jesteś drogie, świeże, do samego wnętrza roześmiane powietrze naszego salonu? Czy żyjecie wszystkie małe świeczki? Czerwony gilu z lepkiego marcypanu jedz na gałęzi swoją złotą kulkę! Nie schodź z lukrowanej drabiny czekoladowy kominiarzu. Niech wiewiórka z prawdziwem włosiem jeszcze jedną chwilę zaczeka pod gwiazdami!

Wy, Afgańczycy, biegnący pod drzewkiem z kindżałem w zębach radośnie naprzeciw sokołów! Wy, kosynierzy, stojący razem z Turkami, pularesie, w którym jest przegródka, — i cudna gro w Halmę!

Robinzonie w czerwonej okładce i Chato Wuja Toma! Scyzoryku, uśmiechnięty wszystkiemi ostrzami i pociągu z kościelną trociczką, zapaloną na blaszanym kominie!

Jeden krótki, szalony uśmiech, od którego uszy mi płoną, od którego siadam na ziemi, od którego wiatraczek radości obraca mi się w piersiach! Ty

wszystko, — ty, całe moje szczęście, czekajże jedną chwilę, oto już cię oddaję! Jeszczeście odejść nie zdążyły, gdy już nie on, mój ojciec, a ja tu sam w długich spodniach z kluczykami, dzwoniącemi w kieszeni, na środku salonu jestem, a ktoś inny, malutki, do ziemi ze szczęścia przysiada — dla niego szaleje powietrze i śmiechem ściany salonu marszczy!

Nim znowu ja odejdę, a on, — już znów dorosły, z kluczykami na środku zostanie...

Dla czego wszystkiego, trudnego, kochanego, ważnego, obcego, swojego, na zawsze jedynego — dajcie mi, dzieci, wasze małe ciepłe, śmieszne palce. Siądziemy do białych klawiszy, na czarne nie spojrzymy i razem sobie trafnie, zgodnie wystukamy za Kubę, Filipinę, za gila, za wiewiórkę, za wszystkich naszych ojców, już nie pamiętanych i za nas, wąską ścieżką pamięci idących, i za ciebie, mój synku, — byś rósł i zakwitał... Wystukamy tę samą krótką, małą pieśń, — ty długie, wielkie szczęście!

G R O B L A

(O podejrzeniu, winie, karze, krzywdzie i przebaczeniu,—na końcu wie czytelnik wszystko i sam sądzi)

Mam to na wieki wyrysowane w sercu i zawsze czuję woń akacyj, zmieszaną z szumem ogromnych topoli, gdy tę scenę wspominam:

Jedziemy,—minęliśmy wrota, obok z lewej strony za rowem widać długie gumna. Matka mruży oczy, przygarnia nas rękami, z których kolejno wylatują na skórzane poduszki zawiniątka i paczki. Konie dudnią po murawie a powóz, wjechawszy z kamienistej szosy na trawę, sunie, jak po aksamicie. Mijamy biały dwór, błyszczący czarnemi szybami. Z ganeczku, który jakby płonął w złotawych pędach dzikiego wina, machają do nas śpiesznie białe chusteczki.

Jedziemy wkoło klombu, konie zakręcają tak szybko, że aż nam powietrza przybywa nagle w piersiach. Jan w granatowym płaszczu z żółtemi guzikami i w gumowym kaszkiecie trzasnął z bata trzy razy.

Mama nas trzyma, nie może wymachiwać, kiwa tylko głową i śmieje się cichą, do płaczu podobną radością.

Już ich widać wszystkich przed werandą. Babcia z brodawką pod nosem, z drugiej strony Gucio w białych wyprasowanych spodniach, w środku, otoczona siwym wałeczkiem włosów, nasza prababka, z żółtą laską w ręku.

Śmieją się wszyscy razem.

Mama była malutka, ale wobec prababki okazała się jeszcze wielkoludem.

Wszyscy pilnują paczek, które się wyciąga z wozu i kładzie na ceglanych schodach.

Mama wita się z prababką.

— Moja najstarsza wnuczka, — mówi staruszka podartym „papierzanym" głosem.

Prababka ginie w objęciach naszej mamy. Prawie że nie widać jej starej kapoty z pod zielonych jedwabnych rękawów maminej bluzki. I, — czy pan Drożdż wysłał furę po rzeczy, boby nie było dzieci na czem spać położyć?

— Jeszcze dla prawnuków znajdzie się tu miejsce. — Pożyłowaną ręką klepie mamę lekko po policzku. Mama przymyka oczy. Stoją razem, pod rękę. Mama ogarnia nagle prababkę jednem objęciem ramienia, jak któregoś z nas. Poprostu jak małe dziecko.

Obie razem patrzą, — od gumien przez klomb, aż ku białym gwoździkom pod okna, machnęły się jednym wielkim łukiem dwie jaskółki, a potem, że tyl-

ko zgrzytnęło powietrze, wzbiły się aż ponad szczyt topoli.

— Czy to już będzie wszystko? — zawołał z kozła Jan.

Gucio powiedział, że wszystko, konie się poderwały, poszły, został na murawie granatowy odcisk głuchych kół powozu.

Chcieliśmy zaraz lecieć za Janem. Widzieć, jak będzie zdejmował szory. Jak wyprzęgnie siwki. Chlustać wiadrami na zakurzone szprychy. Lecieć i siadać na okutym dyszlu. Lecieć do stajni. Lecieć i z ludźmi windować wiadra przy studni. Wygonić kaczki ze stawu. Lecieć do kucharki i rzucać łupy do zaparzonych obieżyn. Latać boso po ogrodzie. I lecieć za panem Drożdżem do pola.

Wszędzie lecieć, lecieć — i lecieć!

— Ja to przecież odrazu widzę, że sobie tutaj z nimi rady nie dam, — westchnęła matka pod koniec podwieczorku.

-- Terc fere, — odpowiedziała na to prababka. Dam ci do nich, no, tę... Poczciwa dziewczyna, krzywdy dzieciom nie zrobi. Marcysię!

Postanowiono zapytać w tej sprawie Drożdża, a tu właśnie pan Drożdż przyjechał z „naszą" furą. Góra rzeczy owiązana sznurami mało się trzy razy po drodze „ze wszystkiem" nie wysypała. Na grobli się bali, że z wodą popłyną, teraz koniska spokojnie wywijały ogonami, a uczepiony do kozła wierzchowiec broczył pianą z pod popręga.

Polecieliśmy wąchać go, słuchać jak chrzęści

prawdziwe siodło skórzane i suwać palcami po strzemionach.

Aż tu ode drzwi potężny głos ryknął niespodzianie:

— Idźcież mi od konia, chłopaki, bo lignie jeszcze którego!

To pan ekonom Drożdż tak wołał. Nie stał, nie siedział, tylko „sobie był" wsparty na wielkiej lasce w cieniu dzikiego wina. Obeszliśmy go ze wszystkich stron, odrazu rozumiejąc, że to wielka władza i że nigdy nie da się z nim żyć na przyjacielskiej stopie. Wielki czarny notes sterczał mu z białej bluzy, z butów wisiał skórzany bat i chlastał o cholewy. Wytknięte z za ucha cygaro rzucało cień na brew szeroką, jak kłos.

Gdy pan Drożdż wstał, okazało się, że jest poprostu olbrzymem. Czerwonemi łapskami wyciągnął z ziemi swą „lachę", zakończoną straszliwym „śpikulcem". Pogroził nam, śmiejąc się głośno, aż konie uszami zastrzygły. Potem ją wbił, coś chrobotnęło w rączce i oto z pałączka zrobiło się siedzenie, na które zwalił się, sapnąwszy głośno.

Nie mówił nic, — myśmy też jednego słowa pisnąć nie śmieli. Dopiero gdy przyszła prababka z matką, zaczął huczeć. Bluza mu się rozdęła od nadmiaru głosu. Czegoś tam na stacji wydać nie chcieli, bo się kartka odlepiła i dopiero wydali, gdy się dowiedzieli.

Ręce miał ogromne, czerwone jak raki. Jeszcze niemi wytrząsał. Mama, zrobiwszy pewien miłosierny

ruch ustami, przerwała, pytając, czyby się niejaka Marcysia nadała do nas do nadzoru nad dziećmi?

Pan Drożdż łypnął w naszą stronę przekrwionemi białkami, chrząknął i spytał:

— Do tych chłopców?

— Tak, do naszych chłopców.

— Marcysia? Ta od gęsi?

— Tak, Marcysia od gęsi.

— Ano, proszę pani, — wyrzucił wgórę ramiona, jak do rąbania drzewa, — możeby się ta i nadała. Krzywdy nie zrobi, ale wiadoma rzecz, złodziej dziewucha, na ręce trzeba wciąż patrzeć.

Popatrzyliśmy nie na ręce, lecz za spojrzeniem matki na prababkę. Utkwiwszy białe oczy w czerwonych ślepiach Drożdża, spytała:

— A komuż to na wsi nie trza patrzeć na ręce, panie Drożdż?

Obejrzał się po oknach, dachu, wielkich mchach na goncie rozsiadłych, nawet o spłoszone listki topoli zawadził spojrzeniem i wreszcie zamiast odpowiedzi huknął na furmana:

— Długo tak będziesz czekał zlitowania bożego?!

Fornal podciął siwki, fura z jękiem przejechała pod oficynę, za nią dwóch parobków, jeden prosty, drugi kuternoga.

— Ten kuternoga, Kuba, — tłumaczył pan Drożdż, — mają się pobrać, z Marcysią, będzie zaraz po żniwach. Krzywdy ta nie zrobi, ale złodziej dziewucha!

— Wielkie rzeczy! Wszyscyście tu złodzieje, — żachnęła się prababka niecierpliwie.

Na to pan Drożdż do naszej matki,—że pani starsza zawsze tak, aby tylko ugryźć człowieka, aby ugryźć, aby ugryźć. Nadziwić się nie mogąc temu gryzieniu, poszedł ścieżką pod różę na klombie i wrzasnął przeraźliwie:

— Marcysia!!

Wyleciała z za węgła na stopach płaskich, niby gęś, z rękami obabranemi grubem razowem ciastem. Pan Drożdż niegoloną brodą wskazał dziewczynie naszą matkę, która zrobiła malutki, miłosierny ruch ustami, — ale już było za późno. Marcysia jakby się z samej z siebie wyrwała naprzód, przypadłszy pokornie do ziemi.

— Nie trzeba, nie trzeba! Co robisz?!

Wreszcie zaczęły rozmowę o myciu, pilnowaniu, czesaniu i, — żeby zawsze na porę było wszystko. Patrzyliśmy na naszą przyszłą opiekunkę z bezgranicznem lekceważeniem. Pachniało od niej zimną wonią szuwaru i sadzawki.

Ciągle spuszczała oczy, pan Drożdż potem mówił, — tak jej latają, bo szelma wie, że jej źle z oczu patrzy.

Nie umiała nawet powtórzyć naszych imion. Zaczęliśmy wypinać brzuchy, co oznaczało pogardę. Nareszcie omijając ostrożnie krzesła i stołki, pocałowała w rękę kolejno prababkę, matkę, babkę, pana Drożdża, cykając głośno ustami, jakby miała w nich ukryty mały dzwoneczek. I poszła.

Jeżeli się mówi, że ktoś jest u kogoś na dobrym, czy łaskawym chlebie, to chleb, na którym była u nas Marcysia, choć z masłem, miodem i nieraz z konfiturami, — nie był ani dobrym, ani łaskawym. Nic tu nie pomogła doraźna nauka, po wyjściu Marcysi wszystkim nam „razem odrazu" udzielona, że dziewczyna z ludu jest takim samym człowiekiem, jak wszyscy inni i że tak samo szanować ją wypada. Nic nie odpowiedzieliśmy „w oczy" ale „na osobności"!

Tego samego wieczora, po kolacji pokazaliśmy Marcysi, że wcale nie jest „takim samym człowiekiem". Jużeśmy leżeli w łóżkach, już nam matka powiedziała „śpijcie dobrze" i wyszła, ostatnim pocałunkiem w czoło obowiązek i prawo nocy ustanawiając. Już dawno wielki księżyc wisiał między spłoszonemi liśćmi na pustem bladem niebie a Marcysia czuwała przy otwartem oknie, — gdy ukradkiem podniósł się z pościeli najstarszy brat Irzek i syknąwszy „złodziejka", — upadł na poduszki.

On, potem ja, potem jeszcze najmłodszy.

Marcysia nic, — cisza nocna idzie przez mgły dalej.

Psy zaszczekały w stronie stawu, jakiś okropny bas odpowiedział im aż od drugiej wsi. Jeszcze kilka razy cyknął świerszcz za piecem.

Daliśmy sobie znak szuraniem prześcieradeł i gdy stróż nocny zatrąbił na rogu za oborą, my znów jeden za drugim — złodziejka, — złodziejka, — złodziejka.

Marcysia nic.

My znowu.

Marcysia ciągle nic.

My znowu, coraz częściej. Skoro sam Drożdż tak mówił... Sykaliśmy coraz mocniej i głośniej, aż z tego wszystkiego zaczęła sobie cicho śpiewać. Śpiew był cieniutki i nieśmiały.

W małym kwadracie otwartego okna między dwiema srebrnemi rózgami ogromnych topoli siedziała bez ruchu, zawodząc tak cicho i cienko, żeśmy odrazu zasnęli.

Zapomocą słowa „złodziejka" można było doskonale rządzić Marcysią. Wystarczało nawet powiedzieć tylko „złodzie..." — i już była posłuszna. Mogliśmy więc robić przy niej wszystko, co się nam podobało. Jedliśmy marchew i kalarepę prosto z grzędy. Zielone, kwaśne jak ocet zimówki prosto z drzewa. Dymiący chleb razowy prosto z pieca. Ciepłe mleko ze szkopka prosto od krowy. Mieszaliśmy paluchami w wielkich, żelaznych garach, nastawionych w piwnicy na śmietanę. Kradliśmy świeże gomółki. Tuczyliśmy gęsi, wpychając im do gardła po dwie kluski naraz. Strzelaliśmy do kaczek, pływających po stawie. Smażyliśmy w kociołku gąsienice na powidła. Ścinaliśmy pokrzywy naszemi drewnianemi jataganami, choć pan Drożdż krzyczał o to a Marcysia na jego widok bladła śmiertelnie. Kąpaliśmy się sami w Wiśle.

Czy masz w pierwszych wspomnieniach swoich jaką rzekę? Ja mam Wisłę! Ona to, ona, czysta wstęga błękitna płynie przez wszystkie myśli mojego dzieciństwa, jako wieczna kokarda radości trwa dotąd

w znikomem mojem życiu i ile razy szczęście jakieś na swej drodze spotykam, tyle razy, jakobym widział źródła mego losu, z niebieską falą pospołu płynące!

Kąpaliśmy się sami w Wiśle, lataliśmy w wiklinach, tarzaliśmy się w piachu a kiedy nam już zęby z zimna szczękały i Marcysia gnała nas do domu, dość było powiedzieć tylko „złodzie..." — by znowu kąpać się godzinę.

Przedewszystkiem zaś chodziliśmy do narzeczonego Marcysi, Kuby i do byka, Maćka. Siedzieliśmy u byka, jak długo się nam podobało.

Byk był królem całej stajni, mieszkał osobno za przegrodą, w najmilszym chłódku, w świeżej słomie po brzuch. Maść miał, jak niebo na burzę, białą w czarne łaty. Nie słuchał się nikogo, prócz Kuby. Kuba mówił, że się ten byk Drożdża, ani nawet naszego ojca pana doktora za żadne pieniądze nie posłuchał.

— Wolisz mnie, Maciek, wolisz?

Maciek zwracał w bok szerokie, czarne czoło, widłami rogów zakończone i wypuściwszy z białych nozdrzy potężny dech, od którego muchy „warjowały" w żłobie, patrzył na nas mokremi ślepiami.

— Posłuchasz się mnie, Maciek, posłuchasz?

Ciężki łańcuch, przewleczony przez nozdrza, dzwonił groźnie, ogon bił w prawo, w lewo. Kuba, nad głupim Maćkiem „cały pan", wchodził z nami do klatki i posadziwszy wszystkich trzech na szerokim grzbiecie, skrobał byka pazurami za uszy!

— Ślepia ci ma, — śmiała się Marcysia, — że rany boskie!

— Ślepia ma ogromne, — cieszył się Kuba, — a ja go bęc po pysku.

Walił w pysk, Marcysia śmiała się za kratą, a myśmy zamierali na grzbiecie ze strachu i z radości.

Jazda na byku i kąpiel w wiklinach za groblą to były dwa „największe nasze szczęścia".

Dotąd pamiętam na wysokiej grobli krzak kwitnącego głogu. W jego chwiejnym cieniu siedzieliśmy gromadką i tu nas chłodził miękki wiatr rzeczny. Tu słuchaliśmy sto razy ze śmiechem i przerażeniem, — jak nas jeszcze nie było na świecie a ojciec był dopiero narzeczonym i po egzeminach jechał tędy, tą groblą, żeby powiedzieć, że już wszystko zdał i zaraz będzie ślub. Jechał między dwiema wodami w czasie ogromnej powodzi.

— Do mnie i do was, choć was jeszcze na świecie nie było, jechał tędy między dwiema wodami sam jeden. Kiedy się spotkali z wysłanym z dworu Janem, wyminąć się nie mogli. A ja tu na nich czekałam przy tym krzaku, od południa aż do ciemnej nocy,—śmiała się nasza matka, kołysząc gałęziami.

Stąd patrzyliśmy często na drugi brzeg Wisły, od którego, — jak mówiła — krajało się jej serce.

W pośrodku rzeki była już granica. Tam już chodziły po polach wielkie wojska rosyjskie a na małych koniach uganiali straszliwi kozacy.

Tędy po tym wale pędziliśmy na sam brzeg, żeby ich płoszyć chorągiewkami polskiemi. Ale oni szli

przez rozległe pola w ogromnych rzędach nieraz całe pół dnia. Odziani w białe bluzy, śpiewali obce swoje pieśni, a matka nasza, patrząc z pod cienistego głogu, mówiła z przerażeniem:

— Bez końca. Żywy łan. Mój Boże, — żywy łan.

Czy mógł się ktoś spodziewać, że właśnie pod tym krzakiem, w cieniu którego tyleśmy zaznali dobroci i słodyczy, wydarzy się nieszczęście?! Nieszczęście w dniu najradośniejszym, w wilję imienin mojej matki?

Rano, jak zwykle cały ostatni tydzień, poszliśmy do prababki przepowiedzieć imieninowe wiersze i dostać za to po łyżeczce konfitur z berberysu. Potem zbieraliśmy maliny, od czasu do czasu przykładając uszy do ziemi, czy powóz już nie jedzie?

Powóz z ojcem.

— Nie może jeszcze dudnić, — śmiała się z nas matka,— zbierajcie tylko dalej. Ale sama też nadsłuchiwała, bo nikt godzin przyjazdu dobrze nie pamiętał, a stary Jan jechał tylko „na oko".

Nie przyjechali rano, nie przyjechali w obiad. Teraz możliwe jeszcze tylko wieczorem. Więc poszliśmy się kąpać, my z chorągiewkami, mama z książką, Marcysia na końcu z tobołem prześcieradeł. Rzeczy złożyliśmy pod krzaczkiem. Wszyscy pamiętamy, że mama zdjęła swoje dwa pierścionki, mówiąc do Marcysi:

— Masz i uważaj. Najlepiej włóż na palec. Tu są dwa pierścionki.

Pamiętamy, bośmy jeszcze wtedy oglądali z wielkim śmiechem białą obrączkę skóry na białym palcu.

Zaprawdę pamiętamy, gdyż to wydarzenie leży na zawsze w naszych sercach. Ono nas pouczyło o niepewności wszelkich ludzkich sądów o skarbach prawdy w sumieniu zawartych i o tem, że niemasz między ludźmi sprawiedliwości, jak tylko w przebaczeniu.

Marcysia została pod głogowym krzakiem, przy rzeczach, mama w kąpielowym kostjumie czytała książkę na brzegu wikliny, myśmy z chorągiewkami poszli daleko w wodę puszczać z piaszczystych łysin kaczki i grozić kozakom, zwłaszcza, że ich wcale nie było na drugim brzegu.

Widać tam było drogi rozkręcone, gdzie niegdzie chałupkę z malutkiemi oknami w zachód słońca wpatrzoną. Śliczny wieczór lśnił wszędzie na niebie, pod szuwary, wikliny kładł granatowy cień a na wodzie w płytkich falach osiadał listewkami fioletu.

Rzucamy kaczki, z chorągiewkami śpiewamy w środku wody o Kościuszce, Kilińskim, — gdy nagle z za wzgórka wydyma się jakby muszla piaszczysta. Wydyma się, wydyma, — wiatr ją rozmiótł pomiędzy zbożami. Gdy opadła, ukazało się naszym zdumionym oczom kilku jeźdźców. Jechali z dużemi dzidami prosto drogą, śpiewali coś swojego. My „na to" jeszcze głośniej nasze o „Kilińskim".

Przyjechali już prawie nad brzeg. Na małych konikach myszkują tędy, sięndy. Już słychać, jak im woda pod kopytami pluszcze.

Stoimy i machamy lancami. Wjechali w wodę,

słychać doskonale, jak włochate konie syrpią gładką falę. Jeszcze mocniej machamy sztandarami, aż tu Marcysia ztyłu jak nie wrzaśnie! Trzymając się za głowę, zbiegła po grobli do wsi. Na to kozacy, już goli, hyc na konie i w wodę. Zpoczątku płyną po głębinie, — robi się coraz płyciej, — srebrne grzebienie tryskają już z pod kopyt, nad głowami śmigają nahaje.

Przestaliśmy śpiewać, krzyczymy wniebogłosy. Już przed nami uganiają straszni, goli, wrzeszczący, póki nas matka nie dopadła i nie objęła razem. Patrzy na kozaków i krzyczy, że jej żyła niebieska występuje na szyi, grozi im wikliną, — golcy szczerzą zęby...

Mama nie daje kroku wtył, ani kroku wprzód, prędko, głośno dyszy...

Dopiero kiedy na grobli rozległ się gruby głos pana Drożdża! Z drugiej strony jak wylecą żniwiarze, z Kubą na samym czele. A Gucio w zaprasowanych spodniach, w kapeluszu, odrazu jak nie hycnie w wodę!

Kozacy, śmiejąc się, uciekli. Musieliśmy długo siedzieć pod krzakiem i czekać, aż się mama wypłacze. Gdyśmy się ubrali, okazało się, że niema jednego pierścionka. Jak Marcysia leciała do wsi po pana Drożdża były jeszcze dwa.

Zaczęło się szukanie.

— Chłopcy, wy macie takie dobre oczy.

Naszemi dobremi oczyma szukaliśmy nadaremnie. Jeszcze raz strzepywało się wszystkie prześcieradła i mokre ręczniki.

— Przypomnij sobie, Marcysiu. Więc, — biegłaś...

— Ady, proszę pani, — głos się Marcysi załamał, — szukam, jak wszyscy przecie.

Oczy jej latały przez każdą trawkę, piach,—tam i napowrót, wkoło.

— Szukaj wiatru w polu, — powiedział głośno Irzek.

— Nie wiatru przecież, dziecko, moja ślubna obrączka!

Mrok zapadał, z trawy spełzła czerwień, na rzece siność się rozprzędła a z wiklin leciał rechot żabi. Macaliśmy pociemku, blady centuś księżyca siał srebrem poprzez piach.

Mama, podszedłszy nagle do Marcysi, wzięła ją za ramiona:

— Popatrz mi prosto w oczy, prosto, — prosto.

A zielone źrenice dziewuchy tak latają!

Dotąd pamiętamy niskie gęste słowa wśród szumu ciemnych wiklin:

— Przyznaj się, czy nie wzięłaś!

Najstarszy brat machnął chorągiewką i odrazu zawołał, że wzięła.

Jakby się w Marcysi złamała nagle jakaś mała sprężynka:

— Ja wzięłam?! — Padła mamie do nóg.

— Nie wolno nigdy mówić, gdy się nie wie.

Musiał to Irzek powtórzyć za matką własnemi ustami: — Nie wolno nigdy mówić, gdy się nie wie.

Wracaliśmy przez łąki, mama przodem, z gło-

wą nad przedścieradłem smutnie przechyloną, my w poufnej naradzie, — bo przecież mówił Drożdż, że *ona* jest „złodzie..." Najmłodszy brat rozpłakał się nagle. Ot, — tak.

Na końcu szła Marcysia.

— Przyznaj się śmiało, wzięłaś?! — rzekł Irzek na dobranoc, gdyśmy leżeli w łóżkach.

Marcysia ani słowa. Ale wydało się nam, że słyszymy, jak kłamstwo w niej syczy.

Srebrne rózgi topoli szumiały przez otwarte okno, stary stróż na rogu wytrąbił godzinę. Księżyc zaszedł za ścianę, wionęło nocą po pościeli.

Najmłodszy brat zaczął znowu płakać. Ot, — tak.

Więc my starsi znowu pokolei: — Złodziejka. — Złodziejka.

Marcysia nic.

My znowu.

Marcysia nic.

My znowu.

Jakże się nagle z całych sił nie rozedrze na wszystkie pokoje! Udarła się tak głośno, że z jadalni wbiegł Gucio z kandelabrem w ręku, za nim matka z rozpuszczonemi „na migrenę" włosami. Marcysia padła na kolana, skarżąc o słowa takie i wyzwiska. Łzy jej płynęły z oczu, z nosa, chyba także z ust.

— Nie wolno nigdy mówić, gdy się nie wie, — powtórzył Gucio uroczyście. Twarz jego w świetle

księżyca i zapalonych świec mieniła się „sądnym", srebrno-złotym blaskiem.

Poszli. Psy za oborą już na dobre ucichły. Irzek sobie spokojnie odczekał i kiedy nawet świerszcz już ucichł w ścianie, syknął niby przez sen:

— Złodziejka.

Bose nogi skoczyły przez podłogę... Czarny sznur w Marcysinej dłoni wywijał już nad Irzkiem. Przycupnęliśmy odrazu do poduszek. Nie była to już „nasza" Marcysia, ale straszna wykrzywiona gęba.

— Bo was tu pozabijam, — warczała przez odsłoniete zęby, — zabiję jak szczeniaków.

Na szczęście jutro już nie można było o tych rzeczach pamietać, szły najważniejsze ze wszystkich imieniny! Ubraliśmy się pierwszy raz w marynarskie granatowe bluzki, od samego rana było strzelanie z batów pod oknami. Wszyscy się ustawili w kancelarji, z prababka na czele. Z Guciem i z ojcem. My trzej z trzema bukietami świeżych niezapominajek według wzrostu.

W pewnej chwili drzwi otwarły się same.

Od sypialni aż do nas widać na podłodze szlak różanych płatków, które „znaczą drogę". Czekamy i czekamy, prababka woła śmiało:

— Wychodź, kochanie, wychodź, bo już mnie nogi bolą od takiego stania.

W otwarte drzwi wleciał cichy śmiech a za nim weszła nasza matka, jak jeden wielki bukiet. Zaczęliśmy nasze wiersze, — nie pamietam treści, ale dotąd czuję ich ciepły ślad w sercu. Potem składamy dary.

My bukiety, prababka różę, z kroplami rosy na rozgiętych liściach, babka złote kolczyki. Mama siedziała na fotelu, oplecionym białemi bratkami. Gdy się „skończyło z rodziną", wystąpił przed fotel pan Drożdż. Ryczał i huczał bardzo długo.

Potem wystąpił stary stangret Jan. Nie można było zrozumieć, co mówi. Ciągle mu się mieszało i wracało do początku. Mówił także kosmaty kowal, którego bardzośmy się bali. Sapał uroczyście.

Potem jeszcze inni występowali i byłoby się wszystko tak ślicznie skończyło, gdyby nie Marcysia! Przytulona do ściany, boso, w zwykłym przyodziewku, płakała pod piecem, że nie wyjdzie i życzyć nie będzie na taką poniewierkę, jaką tutaj ma. Nikt się nie spodziewał, że się odważy udrzeć „na środku imienin". Wszyscy wiedzieli o obrączce, ale czy kto co mówił?!

Mama, zeszedłszy z fotela, głaskała Marcysię oburącz po głowie: — Wybij to sobie, dziewczyno, raz nareszcie z głowy.

Wszyscy poszli teraz na śniadanie, przy Marcysi został z nami tylko Kuba. Bylibyśmy ją nawet wkońcu może pocieszyli, ale wszedł pan Drożdż z wielką flachą wódki i powiedział:

— Ty, Kuba, jesteś dobry chłop, ale głupi akurat, jak twój Maciek. Dlatego z tą dziewuchą ja się sam rozprawię.

Rozprawił się z nią nazajutrz rano po imieninach w kancelarji. Była to pierwsza rozprawa „sądowa", jaką między ludźmi słyszałem. Straszna to chwila,

gdy człowiek o człowieku nie wie prawdy, gdy o nią pyta łakomie, uwierzyć nie mogąc. Straszna chwila, gdy pyta się ustami a spojrzeniem chciałby głowę przewiercić!

Ojciec czeka za biurkiem, pan Drożdż stoi na środku, dwie muchy siadły na końcu harapa. Myśmy się zaczaili pod oknem.

Marcysia nic, — Drożdż nic, — ojciec nic. Za oknem chwieją się w słońcu białe bratki, stary Karo ogryza pod studnią jakąś kość.

Marcysia — nic. Drożdż — nic. Nareszcie mówi Drożdż tak głośno i twardo, że ojciec marszczy brwi.

— Gadaj zaraz, — ukradłaś?!

Wszyscy — nic.

Teraz mówi Marcysia coś takiego dziwnego, żeśmy ze strachu przestali oddychać. Oczy jej latają,— latają! Pan Drożdż poczerwieniał, wyciągnął bat z cholewy, wali o podłogę i idzie. Co da krok, wyrżnie batem o ziemię.

— Ja nie skradłam, nie skradłam! — wrzasnęła Marcysia.

Leżymy w małych krzakach pod oknem, płaczemy najgorętszemi łzami, szczypiemy się za uszy z rozpaczy.

— Na Boga się przysięgnij, — woła Drożdża a harap każdemu słowu przytakuje. — Na Boga się przysięgnij!

Słychać krzyk Marcysi, gdy wtem zaśmialiśmy się pocichu z taką ulgą. Słychać równy głos naszego ojca:

— Daj pan spokój, Drożdż!

Jeżeliby istotnie nie mógł nasz ojciec pokonać byka Maćka, to Drożdża pokona zawsze, ile razy zechce.

— Daj pan spokój, Drożdż, absolutnie się nie zgodę. Żadnych bić. Wszystko, co pan uważa, ale żadnych bić.

Powtarzamy cicho pod rynną, — żadnych bić.

— Będziesz siedzieć zamknięta o chlebie i wodzie, — ryczy straszny głos Drożdża.

Pod cieniem bluszczu Irzek kiwa głową, — że nie. Nie o chlebie i wodzie, — chce coś mówić, ale mu się wargi zbielałe nie składają. Tylko mi do ucha powtarza, — że nie. Ukradniemy gomółek, suszonych jabłek, śliwek i zaniesiemy ukradkiem.

Uzbrojeni po uszy, zaczailiśmy się za węgłem. Gdy ją Drożdż prowadził do komórki, powiedzieliśmy, że chcemy wartować. To był początek naszej srogiej zemsty. Drożdż, jakby nigdy nic, pokazał ciężki zamek, na który komórka była zamknięta, plunął przed małem okienkiem, przez które widać było twarz Marcysi i powiedział:

— Jak chcecie, to pilnujcie. Na toście „som" wojsko. Jeżeli nie dopilnujecie, to wam wszystkim tak wsypię! — Zamachnął się harapem i poszedł.

Chodziliśmy przed drzwiami komórki, jak warta na krakowskim odwachu. Irzek z Ceśkiem polecieli tymczasem ukraść coś do jedzenia. Narwali marchwi, kalarepy, wzięli nasze drugie śniadanie. Wsunęli to



wszystko przez okienko i znów trzymaliśmy straż, słuchając z rozkoszą głośnego mlaskania Marcysi.

Najadłszy się, zaczęła jęczeć i zawodzić. Przywołaliśmy Kubę, aby ją pocieszał. Na południe nie poszliśmy do domu, a tylko „na znak" obiadu rozpaliliśmy pod drzewem mały „ogieniaszek".

Tak samo robi wojsko na biwaku.

Wszystkie potrawy przyniósł nam Gucio na ogromnej tacy. Wzięliśmy sobie tylko leguminę, zupę i mięso oddając Marcysi.

— Nie o chlebie i o wodzie, — triumfował Irzek.

Po obiedzie przyszedł znów pan Drożdż, wstawił głowę w okienko i znowu zaczął ryczeć do środka. Marcysia, niby dziki kot, miotała się między ścianami, depcąc po chróście i starem żelaziwie.

Usiedliśmy przy naszem „ognisku", podczas gdy Drożdż wymyślał do komórki. Wtedy jeszcze raz powiedział nam Irzek, — że Marcysia jest winna. Z przerażeniem utkwiliśmy oczy w ognisku. Malutkie płomienie wyrastały z kupki suchych gałęzi, jak długie złote liście.

Na wymyślanie pana Drożdża wyleciał Kuba ze stajni i prędko przekuśtykał przez całe podwórze. Pan Drożdż wyjął swój czerwony łeb z małego okienka. Marcysine płacze na chwileczkę umilkły. Kuba stał naprzeciw ekonoma i mówił:

— Proszę łaski pana. — Proszę łaski pana. — Proszę łaski pana...

Słychać było na ogromnych topolach pośpieszny dygot liści. Z drugiego końca nieba, nad stodoły szła

ogromna chmura. Kuba się rozpłakał. Drożdż wyrżnął harapem o cholewę i powiedział:

— Ty, Kuba, jesteś dobry chłop, ale głupi, akurat, jak twój Maciek. Wynochy mi do stajni!

Kuba pokuśtykał nie do stajni, lecz do dworu, wstawić się za Marcysią. Nikogo tam nie znalazł, czy też go nie wpuścili, — znów wrócił przed komórkę. Marcysia wciąż płakała. Rozlegało się po całem podwórzu. Prosiliśmy Kubę, żeby ją namówił, — niech się już raz przyzna i wszystko się skończy. Obiecaliśmy mu ukraść za to po dwa papierosy. Nie słuchał, tylko latał i latał.

— Lata, jak zasolony, — powiedział mój brat, wspierając się przy ogniu na wielkim, świeżo z kory obdartym jataganie.

Ogromne chmury nawisły już ze wszystkich stron. Każdy liść pobłyskiwał bladem „wystraszonem" srebrem. Ktoś zamknął pośpiesznie okno dworu. Ludzie wracali ze wszystkich stron pod dach. Od stawu, niby naskos złożone białe chustki, przemknęły gęsi prędko tuż nad ziemią. A Kuba tędy, a Kuba tamtędy, — znowu jest na ganku, znowu otwiera te same szklane drzwi.

Nagle w niską ciszę, chmurami przytłoczoną, do ziemi przycupniętą, wypadł z obory tak okropny ryk, żeśmy skoczyli wszyscy trzej jednym susem pod mały dach komórki. Coś się tam, widać, w przegrodach łamało z przeraźliwym chrzęstem. Śmignęła błyskawica i niewiadomo kiedy na sam środek podwórza wyleciał wściekły Maciek. Czoło wiódł nisko nad

murawą, ciskając dookoła zwojami łańcucha, który się skręcał, rozkręcał, niby z nodrzy rzucana dźwięcząca struga żywego żelaza.

Marcysia biła z całej siły we drzwi.

Irzek nas objął za szyję i przeraźliwie krzyknął, przez huk pierwszego pioruna:

— Ogień nas ocali. Całe stada bawołów amerykańskich uciekają zawsze przed ogniem!

Ale cóż mogło znaczyć tych kilka chwiejnych, wybladłych płomyków wobec strasznego Maćka, który z dźwiękiem żelastwa rwał naukos przez podwórze. Już wywalił wszystkie krzaki róży, zjarchał wszystkie bratki i, bodąc mętne, zalęknione powietrze, pędził oślep przed siebie.

Kuba mu skoczył śmiało na spotkanie.

— Kuba, Kuba, — płakaliśmy bezradnie.

Marcysia biła w drzwi, kurzawa drżała w ścisłem świetle błyskawic. Wiatr leciał ze wszystkich stron, z drzew uciekały liście całemi garściami.

Kuba go trzymał już za łańcuch. Stali chwilę naprzeciw siebie, oko w oko. Nagle Kuba z łańcuchem runął na klomb, Maćkowi z nodrzy chlusnęła strugą krew. Marcysia, wyłamawszy drzwi, skoczyła na podwórze. Uciekliśmy co prędzej do otwartej komórki. Za chwilę z płachtą w ręku przeleciał konno Drożdż.

Grad jak groch stukał w dachy, schowaliśmy się za kupę starych chomąt, dokoła krzyczeli już ludzie: nie żyje, — nie żyje, — nie żyje!!

Gdy tylko przeszła burza, uciekliśmy ze dworu aż nad rzekę. Do wiklin.

Irzek mówił, że wszystko jedno, co się stało i tak „będzie na nas". Za to wartowanie.

Poszliśmy naszą groblą, daleko, daleko, daleko, pod las, nad którym wisiała wielka czysta tęcza. Strzelaliśmy do niej z naszych nowych łuków. Na powrotnej drodze znalazła nas matka. Musiała mieć migrenę, bo znowu biegła z rozpuszczonemi włosami. Przysięgła się, że nas zamknie na cztery dni, jeżeli jeszcze kiedykolwiek wyjdziemy sami ze dworu. Poczem dowiedzieliśmy się, że Maciek wziął na rogi poczciwego Kubę i rzucił aż pod samą stodołę. Bułanek pana Drożdża także bardzo ucierpiał, — już mu strzelili w łeb.

Za krzakiem głogu, gdzie się skręca do wsi, dogoniła nas Marcysia. Zdawało się zdaleka, że się śmieje, ale nie był to śmiech. Krzyczała z pięściami przy skroniach.

— To przez panią, przez panią! Na pani głowę ta krew! Ta krew!

Matka nasza zbladła, jak papier i niewiedzieć skąd powiedziała, — przepraszam.

— Boście mnie posądzili, zamknęli, — krzyczała Marcysia, — i bez to Kuba Maćka nie dopatrzył!

Mama, puściwszy nasze ręce, uderzyła się w piersi:

— Nie ja, — nie ja! Wierzę, żeś nie ukradła!

Marcysia była wysoka, a nasza matka niska. Mar-

cysia skoczyła z paznogciami do oczu. Ale mama z płaczem upadła jej na piersi, wołając:

— Wierzę, Marcysiu, że nie ty, wierzę, że nie ty!

Pobiegliśmy prosto do dworu poskarżyć Guciowi, Drożdżowi i prababce, o tem, co się dzieje na grobli. Wszyscy polecieli przez rozmokłą drogę, prababka tylko została sama na werandzie.

Nazbierawszy kamieni, poszliśmy do obory, żeby ukarać Maćka. Stał sobie zwyczajnie za kratą, oczy miał owiązane grubą płachtą, ale z nodrzy ciekła mu krew. Siano było zabarwione.

— Byk nie ma krwi, — pouczył nas Irzek tajemniczo, — tylko juchę. Ale też dostał bestja!

Słowo „bestja" dodało nam odwagi, choć nie mogliśmy ocenić, kto więcej dostał: byk, czy Kuba? Kuba leżał na swej małej pryczy, zawinięty ze wszystkich stron i niby spał. Chyba nigdy jeszcze nie był tak czysto umyty. Gdyśmy mu przynosili papierosy, budził się i kazał je sobie chować do czapki. Przynosiliśmy mu ciągle coś nowego aż do wieczora.

Marcysia siedziała obok na pryczy, płacząc, jakby nas już wcale nie znała. Nie znała nas tego wieczora, ani jutro, ani potem, gdy wywozili Kubę na ciężką chorobę do miasta. Choć wierni przyjaźni, poszliśmy do stajni i strzelaliśmy Maćkowi z łuków prosto w brzuch, tak długo, że się omal drugi raz nie oberwał.

Już nas nie znała wcale. Pan Drożdż mówił, że to wszystko „kumedje", tylko przez nie hardości nabierze, lepiej zapłacić i odrazu wyrzucić. Wszyscy

radzili to samo, nawet Gucio, którego się o takie rzeczy wtedy nikt nie pytał.

Mama, — nie, nigdy, — przenigdy. Nie miała w Marcysi osobliwej pomocy, przeciwnie, — tylko krzyż pański. Ale gdyby Kuba nie złapał „wtedy" Maćka!?!

— Żeby była pierścionka nie ukradła, — huczał groźnie pan Drożdż, — toby w komórce także nie siedziała. Czy to słyszane rzeczy?!

Teraz nie siedziała ani w komórce, ani przy nas, ani właściwie nigdzie. Choć żaden z nas słówkiem już o niczem nie pisnął, — niech tylko noc nastanie, Marcysia szust oknem do księżyca. Dawniej wszystko, co weźmie, ostrożnie złoży, postawi, — teraz jedno po drugiem — chrast-prast. Dawniej mówić z nią można było, bawić się, żartować, — dziś tylko jedno huru-buru.

— I co? — wołał do matki pan Drożdż przez wonny dym powideł, gotowanych na ogniu w ogrodzie, — tylko jeszcze większe złodziejstwo.

Złodziejstwo było coraz większe, wszystko „z pod ręki" ginęło, gdzieś się zapodziewało. Na wszystkiem, jak się u nas mówiło, — siadał djabeł. Na ubrankach, srebrnych łyżeczkach, nawet na pieniądzach.

— Bo żeby pani dała dziewuchę kijem, jak się patrzy, obłożyć, wszystkoby się wykryło. Wyśpiewałaby gracko, jak za panią matką. — Przy tych słowach aż się pan Drożdż większy robił, w dymie powideł nad skwierczącemi garami.

Mama powiedziała już swoje słowo — „przenigdy" — i wszystko musiało zostać po dawnemu aż do późnej jesieni. A w jesieni nastał czas odjazdu.

Pewnego popołudnia wyprowadził Jan siwki do kucia. Polecieliśmy do kowala dmuchać w ogień, rzucać krople wody na czerwone podkowy i patrzeć, jak młody pomocnik skrobie siwkom kopyta.

Na drugi dzień zrana wystąpiły z kątów wszystkie kufry. Zaraz znieśliśmy nasze łuki, kołczany, jatagany, miecze, kusze i dziryty.

— Naco tu te „patyki", — zawołał Gucio i nogą odsunął aż pod piec całą naszą zbrojownię.

I nic. Nikomu już nie było żal. Przyszedł Karo, obwąchał tę broń, przed którą przecież tyle razy drżał ze strachu. Ogonem nawet nie machnąwszy, poszedł dalej. Nie wiedzieliśmy wcale, co robić od rana, a „wogóle" od dawna prószył cienki kapuśniak. Poszliśmy do matki, żeby powiedzieć, że się „strasznie" nudzimy.

Odpowiedziała, że to „wybornie", bo już i tak wracamy jutro do miasta.

Na obiad była zupa grzybowa, ziemniaki w skorupach i post.

Poszliśmy do kancelarji dłubać w starych fajkach pradziadka, który już bardzo dawno nie żył. Nasze miecze i jatagany najspokojniej w świecie paliły się w piecu. Widać było, jak rzeźbione kiedyś pilnie rękojeście pożera leniwy ogień. Zresztą nic się nie działo, — od czasu do czasu przylatywały na płot zmoknięte wrony.

W kącie szyby leżała łapkami do góry, wyssana już dawno przez pająka, zakurzona mucha.

Położyliśmy się zgodnie na dywanie, aby razem ziewać „na trzy".

Przyszedł Gucio, żeby nas uciszyć, — mamę bolała głowa. Siadł przed biurkiem, ziewnął, aż mu łzy w oczach stanęły i — niby nie do nas a „tak", dla siebie, „samemu powietrzu", zaczął opowiadać okropną bajkę.

O frygach, strzygach piszących kredą na wodzie, o wilkołakach i kościstych szkieletach.

Ze strachu wpełzliśmy pod kanapę. Mrok już zapadał. Gucio, widząc, żeśmy się schowali, kazał sobie przynieść z drugiego pokoju zapałki. Teraz do drugiego pokoju nie poszedłby żaden z nas „za największe skarby na świecie".

— Jakto?! — Jeżeli was tak bardzo proszę?

— Kiedy się boimy, — odpowiedzieliśmy razem.

Gucio zatarł ręce, zaśmiał się i powiedział, — a to co innego. W takim razie bardzo przepraszam.— I poszedł.

Siedzieliśmy skuleni pod piecem, z jadalni wpadała szeroka szpara światła zapalonej lampy. Odbywało się tam uroczyste liczenie zimowych zapasów.

— Masz — nudziła prababka papierzanym głosem, — czterdzieści słoików malin.

— Za dużo babciu, za dużo, — odpowiedziała mama.

— Wcale nie za dużo, — powtarzał znowu stary głos. — Masz trzydzieści słoików rydzyków...

Gdy słoje wstawiano do skrzyń, moszczonych grubo słomą, zamykaliśmy oczy z przerażenia. Bo może tak samo „rajdoszą się na cmentarzach szkielety"?!

Ktoś za oknami przeleciał ze świstem po oślizłej trawie. Szarpnął się koło okna, może upadł? Tuż za nim mokre, ciężkie kroki...

— Wcale nie za dużo, moje kochane dziecko, — ciągnęła jeszcze babka, — nagle Karo za domem szczeknął przeraźliwie i zaraz potem, chyba gdzieś nad stawem z pomiędzy topoli trysnął tak straszny wrzask! Przez deszcz, wiatr, szum gałęzi trwał jednym długim ciągiem, bez żadnego końca.

Wyskoczyliśmy z pod kanapy.

Stłukło się coś w jadalni!

Napewno wielki słój z korniszonami. Z mrocznych pokoi ciągle ktoś wyskakiwał i pytał:

— Co to jest?! Co to jest?! Co to jest?!

Szklane drzwi otwarły się z trzaskiem, zmoczony, w liberyjnym kaszkiecie, wpadł do salonu Jan.

— Do samej pani starszej.

Matka mu zastąpiła drogę.

— Kiedy, proszę pani, do samej pani starszej.

— A cóż to, Janie, nie widzicie, że jestem?! — żachnęła się prababka.

Opowiadał, że pan Drożdż, — że Drożdż dopadł Marcysię, jak wybierała ziemniaki z zimowego dołka, wiadoma rzecz — kradła, ale teraz bije ją nad stawem, póki „całej prawdy nie wybije".

— Proszę pani starszej, — żeby aby nie zabił?!

Wyskoczyliśmy za matką na deszcz. Biegła, leciała, pędziła śmiało koło miejsca, na którem Maciek przebił Kubę, śmiało koło płotu, na którym strzygi piszą może kredą i, — panie Drożdż, panie Drożdż, panie Drożdż, — wołała.

Drożdż na tym wietrze mógł „wkońcu" nic nie słyszeć. Stał nad czarną sadzawką, nogami mocno wparty w błoto i swą ogromną lachą bił strasznie w żywe ciało. Jedną ręką walił, drugą trzymał Marcysię, która tańczyła nad ziemią, jak piórko, lecz z przeraźliwym krzykiem.

— Zaparłaś się, złodziejko, — ryczał pan ekonom. — Ukradłaś!!

— Nie ukradłam!!! — skamlała Marcysia, tańcząc coraz wyżej.

— Ja z ciebie prawdę wybiję!

— Zdechnę, — a nie wybijesz! Zdechnę, — a nie wy-bi-jesz!

— Panie Drożdż! — wołała nasza matka.

Oślepły ze złości nie wiedział, co się dzieje. Nasza matka skoczyła na sam brzeg sadzawki i całą siłą zwisła na ręku pana Drożdża. I wtedy stała się rzecz straszna a zarazem przedziwnie dobroczynna, którą jeszcze dziś w dalekiem wspomnieniu witam uśmiechem pomieszanym ze łzami.

Pan Drożdż, nie widząc chowającej się za mamą Marcysi, uderzył naszą matkę swoją straszliwą lachą przez skroń i przez ramię.

Krzyknęła jeden jedyny raz, może nawet nie głośno, może cicho. Ale pan Drożdż zatoczył się, za-

wołał — Jezus Marja, — lachę swą złamał na kolanie, oba kawały cisnął oburącz do stawu i z krzykiem uciekł w noc.

Rzuciliśmy się z pięściami na Marcysię, Irzek chwycił ją za włosy, ja biłem z całych sił. Ale odrazu, niewiadomo kiedy, opełzły nas, obskoczyły, oprzędły ręce naszej matki.

— Wstydźcie się, wstydźcie, nie wolno nigdy bić, powtarzała z płaczem, — ja ci, Marcysiu, wierzę.

Musieliśmy iść naprzód, sami z Guciem, — one we dwie ztyłu. Trzymały się za ręce i razem, jak dwie siostry, płakały.

Wieczorem nie było już przy nas nikogo, tylko siedział Gucio. Okno było zamknięte, topole nagiemi gałęziami stukały w czarne szyby. Rudy cień świecy czołgał się po kątach.

Pytaliśmy Gucia, dlaczego pan Drożdż bił Marcysię? Jakie miał na to prawo? I dlaczego się odważył tak strasznie uderzyć naszą własną matkę? I czy się teraz nie powinno zastrzelić poprostu pana Drożdża?!

Gucio odpowiedział, że mu się „śmierć Drożdża wcale nie uśmiecha". Że bił Marcysię, aby jej pomóc powiedzieć prawdę. Ostatecznie pomylił się, nikomu nie pomógł, a nawet w dodatku mimowoli wszystkim zaszkodził.

— Słowem, — zakończył Gucio, — lepiej śpijcie, bo cała ta historja funta kłaków nie warta.

Nie było już co czekać, księżyc się tego wieczora nie pokazał w oknie, zasnęliśmy odrazu i dobrze

się stało, żeśmy po tej przygodzie, funta kłaków nie wartej, na wsi już dłużej nie siedzieli.

Bo cóż? — Bo nic.

Wyjazd się zaczął od samego rana. Przyszedł dawny kolega Kuby i jeszcze jakiś drugi. Pojechali z furą do miasta, staną u nas w Rynku jutro na śniadanie.

Do powozu na kozioł poszły drobne paczki. Przyszła prababka i ostrożnie ściskała naszą matkę, która miała rękę na temblaku i przewiązaną skroń. Potem znowu zaczęli szukać czegoś jeszcze po wszystkich pokojach, ale Gucio ukradkiem machnął swoją laseczką i konie ruszyły ostro z miejsca. Teraz my z powozu „wiewaliśmy" chustkami. Na mokrym ganeczku stała w siwym wianku włosów prababka, sama jedna.

Wkrótce już dwór zgubił się za zakrętem, wysokie topole malały coraz bardziej, rosła przed nami droga coraz dłuższa. Mama nas szczelnie otuliła, zresztą „i tak" jechaliśmy z nastawioną budą, więc nam deszcz nic nie szkodził.

Tylko Jan, gdyśmy ze wsi wyjechali, wiercił się na koźle, wygrażał komuś batem, to w lewo, to znów w prawo.

— Co tam widzicie, Janie?

— A no nic, proszę pani.

Jedziemy, błoto gładko spada z przednich kół, a Jan znowu wygraża, za siebie się obziera, za nastawioną budę. Przez kłus siwków słychać coraz wyraźniej śpieszne, bose kroki, lecące przez błoto.

— Co tam widzicie, Janie?

Czyjeś palce uczepiły się skórzanego brzegu naszej budy i prosto na podołek mamy, — jakby z szarej nicości zamglonego widoku wyrwany — upadł wielki bukiet świeżych, rozkwitłych astrów.

— Co to znaczy, Janie?! Stańcie, — ktoś nas goni?!

Jan, taki zawsze „wierny", zaciął tylko siwki, bliskie kroki gonią nas po błocie, jakieś dwie ciemne ręce chwytają brzeg budy.

Nad skórzany fartuch wysuwa się znienacka sina, pobita, straszna twarz Marcysi.

— Stańcież, Janie, — stańcie!

Trzonem bata szturga Marcysię w plecy, cmoka żywo na konie, wcale nie stajemy, — jedziemy coraz prędzej a Marcysia płacze na skórzany fartuch, — a Marcysia tak płacze!

Stoimy w głuchej pustce. Wrony latają daleko nad stertami. Mama z chustką na bakier przez oko całuje się z Marcysią, którą „tyrpie" tak ogromny, tak serdeczny żal, że żaden z nas wytrzymać już nie może.

Wszyscy sobie tutaj płaczemy.

I tak jakoś, niewiadomo kiedy, z tych wielkich łez Marcysi prosto na ręce naszej dobrej matki spłynęła ta obrączka. Ta sama złota, ślubna, właśnie podczas kąpieli przy głogu zgubiona.

— Marcysiu, moja droga! — wołamy.

Uciekła przez rozmokłe pola, wołaliśmy napróżno. Jan ruszył jeszcze prędzej, teraz już naprawdę,

żeby „czasu nadrobić". Pociąg już dawno odszedł. Ale ponieważ ojciec miał na nas czekać, więc trzeba było objeżdżać do drugiej jakiejś stacji, zupełnie inną drogą, przez starą, wielką groblę.

— To jest ta sama grobla, — ogarnęła nas matka, gdyśmy wśród dwóch rozlanych wód jechali miękką koleiną, — to jest ta sama grobla, którą kiedyś, kiedyś śpieszył do was ojciec, choć was „po prawdzie" na świecie wtedy jeszcze nie było. — Ale po prawdzie, — przyczem się uśmiechnęła miłosiernym ruchem bladych ust, — każda droga prowadzi w życiu do dobrych, biednych ludzi.

Cóż to miało znaczyć?

Dużo już lat przeszło. Myślę, iż to wtedy miało znaczyć, że między zbrodnią człowieka a karą, jakby pomiędzy jedną wodą a drugą, prowadzi wąska, miękka grobla wiary i przebaczenia. Że na tej drodze bukiety kwiatów z rozpaczy wyrastają a z łez wykwita prawda.

S Z K O Ł A

(Czyli rozumowany traktat, poparty przykładami na to, czego nie powinno być)

Postawiłem na górze stronicy tytuł „Szkoła" i bez przesady powiem, że ręka mi zadrżała ze strachu. Na szkole wszyscy się znają, każdyby ją chciał poprawić, ulepszyć a wszyscy jej wypominają, czego im potem w umiejętności pracy nie dostało. Nie dziw przeto, że mi ręka zadrżała, — widzę powagi i różnych ludzi mego kraju, jakby wokół tej kartki zgromadzonych, groźnie patrzących, czy im po myśli pójdzie ta moja mała praca.

Choć jest mała, — będzie ważna. Niema w sprawie szkoły rzeczy błahych.

Wszystko tu jest równie ważne i konieczne, bo wszystko wpływa na duszę i charakter przyszłego człowieka.

Stoi więc za moim stołem, nakrytym bibułą, sam

Prezydent, posłowie, senatorowie, biskupi, żołnierze, rzemieślnicy, chłopi, — nawet strażaków musi to obchodzić. Wszyscy patrzą mi na pióro, jakby zaraz chcieli krzyknąć:

— Uważajno, mój drogi, bo to się może źle skończyć!

Szczególnie blisko widzę uczonych, uczonych tak ogromnie, że na samą myśl o tem, co umieją, aż mi tchu braknie w piersiach. Nad uczonymi unoszą się na siedmiu piętrach, niby w siedmiu mahometańskich niebach rozmieszczeni, powołani specjaliści, inspektorzy, instruktorzy, — wielcy układacze wszystkich programów szkolnych.

To są ci, którzy z za egzaminacyjnego stołu wypuszczają nas w świat.

Do nich winienem w pierwszym rzędzie zwrócić korne słowa. Jedno ich zdanie sprawić może, że będziemy się uczyć tego a nie tamtego. Oni wprawną ręką wybierają w przedmiotach, jak w koszyku z jarzyną i raz mogą wyciągnąć marchewkę, a kiedy indziej seler.

Dodajmy do tego mamy, ojców, wujów, stryjów, opiekunów.

Dodajmy ludzi biednych, którzy za szkołę płacą nieomal własnem życiem. Ubogich rodziców, którym się wpis szkolny po nocach śni, jak zmora.

Dodajmy tych, którzy kształcąc, tracą swe dzieci na zawsze. Ciemnymi bowiem zostają, podczas gdy synowie wstydzą się już tylko niezaradności swych ojców.



Dodajmy tych, którzy wcale już na wpis nie mają. Stoją, biedacy, jakby na brzegu jałowym i ponurym, podczas gdy w szkole młodzież dostatnia przenosi się z tego brzegu na drugi, — w radosne strony wiedzy.

A nauczyciele, a nauczycielki, a całe „ciało profesorskie"?

Ono znowu głowi się nad tem, co trzeba zrobić z małego chłopca na wypadek tylu wszelakich możliwości, zawodów, powołań! Czyż nasze życie dojrzałe nie jest zależne od tego, czego się będziemy uczyć przez pierwsze lata w kwadratowej klasie przy czarnej, szerokiej tablicy ?

Może kiedyś, mając sądzić ludzi, zniecierpliwimy się i nie sprawiedliwie zasądzimy, — bo nas osądzono w szkole niesprawiedliwie?! Może kiedyś, walcząc o wolność kraju naszego, zejdziemy z pozycji przedwcześnie, — bo nasz nauczyciel nie dosiadywał godzin i szedł sobie z klasy przed dzwonkiem?!

Każda mała godzina w szkole jest później jakąś ważną godziną życia.

Lub może cały przyszły nasz fach wypełnimy poprawną obojętnością, zawsze wszędzie na czas będąc, lecz zawsze sercem nieobecni, — bo nauczyciel nasz był zawsze na czas, lecz nie widzieliśmy nigdy żywego blasku w jego oczach?

Zaprawdę, — stygną na ustach wszelkie żarty! Widzę cię teraz dokoła stołu, Ojczyzno moja cała, twych ludzi widzę, twe pola, góry, rzeki. Mury, kamienie, zwierzęta, wszystko oblega teraz mały zeszyt,

w którym piszę. Bo pisać o szkole, to tyle samo, co się spowiadać z marzeń, tyle samo, co urabiać przyszłość, tyle samo, co chcieć kształtować serce człowieka i za kształt tego serca nieść odpowiedzialność!

Powiedz, czytelniku, czy możemy podjąć tak ogromne zadanie? Czy możemy sądzić, czy mamy odwagę poprawiać?

Pisząc o szkole nie dam wam żadnej rady, moi czytelnicy, a tylko podzielę się kilku wspomnieniami, o których z biegiem lat wyrobiłem już sobie własne zdanie. Nie przypuszczam, aby mi się udało zestawić listę wszystkich spraw źle, czy niepotrzebnie traktowanych w szkole. Ale kilka zagadnień muszę tu roztrząsnąć, bo mi w pamięci dotąd tkwią i dotąd spokoju nie dają.

Otóż: 1) *nie powinno być w szkole walki między uczniami,* 2) *podziału na biednych i bogatych.* 3) *różnicy ze względu na pochodzenie ucznia, czy też „rasę"*, 4) *wreszcie być nie powinno, by nauczyciel przeklinał głośno swój profesorski los.*

Nie mam zamiaru nikogo tu sądzić, ale przeciw tym „grzechom" występuję i jeżeli któryś z was powie, że błądzę, że wyżej przytoczone kwestje dobrej szkole nie szkodzą, jeżeli któryś z waszych nauczycieli powie, że się mylę, — chcę o tem wiedzieć koniecznie. Bo się będę z nim o to kłócić w kancelarji dyrektora, w klasie, na korytarzu. Stanę w bramie szkoły, zatrzymam wszystkich wychodzących i na podwórzu jeszcze się kłócić będę. Będę się spierać o to po drodze ze szkoły do domu.

Nie dam w domu spokoju i nawet jeszcze później, gdy się już jako dorośli kiedyś w życiu spotkamy, przypomnę, powtórzę, znów ten spór odnowię, — choćbyś ty był królem a ja dziadem, ty sędzią a ja aresztantem, ty ważnym doktorem a ja na łożu śmierci, ty całym Narodem a ja samotnym, opuszczonym człowiekiem.

Niejaki Kastalski

Było to zaraz po powrocie ze wsi.

— Od jutra będziecie już zawsze, przez kilkanaście lat, wstawać o tej samej godzinie, aby na ósmą być w szkole, — powiedział nam ojciec na dobranoc. — Trudno, już muszę was kształcić.

Wstaliśmy o tej samej godzinie, rano o siódmej. Już nie było żadnego innego gadania o niczem.

Na śniadanie wypiliśmy gorącego mleka ze świeżemi bułeczkami i „całym domem" poszliśmy do szkoły.

— Trudno i darmo — rzekł ojciec do naszej matki, która zapiąwszy nam płaszcze pod szyją, całowała jeszcze raz każdego ważnym, urzędowym pocałunkiem w czoło.

Gdyśmy wyszli z naszej bramy, pokazał nam ojciec laską wielki czarny cyferblat na ratuszowej wieży. Serce dużej, złotej wskazówki było już niedaleko ósmej, mała stała prawie na samej godzinie.

— Powinniście zawsze wychodzić o tej samej porze. Nie wolno się spóźniać. — Rzekłszy to, skierował się nasz ojciec ku ulicy Brackiej.

Szliśmy „całym domem", gdyż miałem zdawać egzamin do pierwszej klasy ludowej.

Bałem się napisania litery „f", bo nigdy nie wiedziałem, gdzie ją trzeba przewiązać ogonkiem, i bałem się napisania ósemki. Zdarzało się bowiem, że z górnego kółka robił mi się mały niekształtny bacik. Zresztą wszystko było w porządku: z nowej tabliczki łupkowej zwieszała się na sznurku czysta, nowa gąbka,— rysik dzielnie chrobotał w piórniku...

Co się potem działo — nie wiem. Pamiętam tylko, że wkońcu zdawaliśmy we dwóch, to jest niejaki Kastalski i ja.

Byłem małego wzrostu, i Kastalski wydawał się przy mnie olbrzymem. Staliśmy razem przy tablicy. Moi rodzice siedzieli w pierwszej ławce. Ojcu dzwoniły kluczyki w kieszeni, mama szumiała jedwabiem.

O wiele dalej, prawie w ostatniej ławie, siedział niby jakiś stróż i stróżka. Okazali się potem rodzicami Kastalskiego. Nie wyobrażałem sobie dotąd, że rodzice mogą być „wogóle" tak biedni.

Zdawaliśmy razem z wielkoludem Kastalskim, — a właściwie on zdawał, podczas gdy mnie używano tylko do pomocy. Zaczęło się od drabiny.

Pan nauczyciel kazał Kastalskiemu wyrysować drabinę na dużej szkolnej tablicy. Nie wiem, czy Kastalski się bał, czy co?

W samym rożku tablicy smarował coś kredą bez sensu. Poprostu dłubał.

— No, a ty? — rzekł pan nauczyciel.

Ukłoniwszy się pięknie, machnąłem odrazu dwie wielkie linje równoległe, poczem od dołu, jakbym się miał wspinać, jakbym po nich szedł, jakby niemi biegło do góry moje serce, — kreślić zacząłem stopnie. Jeden, drugi, trzeci, — nie można się było pomylić. Spojrzałem przytem mimowoli na Kastalskiego. W długich butach, w połatanej katance stał z otwartemi ustami i ręce wyciągał po kredę.

Nie miałem ani chwili do stracenia, — kredy mu nie oddałem. Rysowałem stopnie drabiny coraz wyżej, — Kastalski łykał tylko ślinę.

Pytano nas potem z rachunków, — do dwudziestu. Kastalski umiał liczyć tylko do czternastu. Dalej już poplątało mu się wszystko. Matka jego zrzuciła z pleców chustkę i, powstawszy z ławki, szepnęła głośno:

— Piętnaście!

Pan nauczyciel zauważył, że nie wolno podpowiadać. Kto wie, może się mylę, ale zdaje mi się, że nawet mój ojciec odwrócił się i zmierzył kobietę w chustce niechętnem spojrzeniem.

Pan nauczyciel zwrócił się do mnie ze słowami:

— A ty?

Zacząłem liczyć, jakby znów pod górę, jakby po tych liczbach moje serce wspinało się wysoko, — do dwudziestu, trzydziestu, czterdziestu. Nie wiem dlaczego, ale od trzydziestu nie liczyłem już *do* pana

nauczyciela, lecz *do* Kastalskiego, który się rumienił i jak gdyby brzękł od wypowiadanych przeze mnie cyfr.

Gdy zaczerpnąłem oddechu przy „osiemdziesiąt jeden", — głowa Kastalskiego opadła na piersi.

Następnie do dwudziestu, — ale dodawanie i odejmowanie.

Pierwszy odpowiadał Kastalski. Każde pytanie najpierw głośno przełykał. Gdy przełknął, tonęło w nim tak, że już nawet nie wiedział, na co ma odpowiadać.

Zpoczątku czekałem spokojnie. Ale gdy pan nauczyciel zwrócony do Kastalskiego, patrzył odrazu na mnie — wcale już nie czekałem. Popatrzywszy na chudą szyję Kastalskiego, widząc, że dopiero łyka, — odpowiadałem odrazu.

Moi rodzice i pan nauczyciel kiwali chętnie głowami, a ja ostrem spojrzeniem, niby scyzorykiem, śmigałem przez twarz Kastalskiego, — i już wiem, że on nie wie!

I już mówię, — co wiem!

I już się uśmiecham, nim Kastalski podniesie do góry swą zbiedzoną głowę.

I już mu nawet ust otworzyć nie dam, bo wszystko wiem! Wiem naprzód, wiem za siebie i za niego, — głupiego. Wiem, tak prędko, głośno, że pan nauczyciel już na mnie tylko patrzy. Wiem tak dobrze, że nawet gdy Kastalski zaczyna odpowiadać, — ja mu słowa wyrywam z ust!!!

Wiem tak prędko, głośno, składnie, wyśmienicie, że Kastalski zakrywa sobie oczy rękawem katany. — Jego ojciec przełożył czapkę z rąk do rąk.

Pan nauczyciel gładzi mnie lekko po głowie i mówi do mego ojca:

— No, naturalnie.

Tymczasem Kastalski wybucha głośnym płaczem.

Tego nie powinno być w szkole!

Szukam cię teraz, kochany Kastalski, chcę ci powiedzieć, że to była wielka niesprawiedliwość. Nikt nie miał racji przed tablicą, na której rysowałem drabinę, nikt, prócz twojej matki, gdy ze łzami w oczach szepnęła:

„Piętnaście".

Chcę ci powiedzieć, że wszyscyśmy tam oszukali nasz kraj, bośmy tobie powinni byli pomagać, a nie mnie tuczyć twoją krzywdą.

Nie wiem, czy żyjesz, nie wiem, czy pamiętasz tego rumianego chłopca w granatowej marynarskiej bluzie, który ci słowa wyrywał z ust, patrząc na nauczyciela nędznym, przypochlebnym wzrokiem. Ten chłopiec, mój kochany Kastalski, — to ja. Jeżeli jesteś gdzie na świecie sławny i potężny, — dowiedz się, że mi twoja krzywda w życiu nie wygodziła, bom niczego wielkiego nie dokonał.

Jeżeli nie jesteś ani potężny, ani sławny, jeżeli jesteś prawie byle kim i mniej jeszcze znaczysz ode mnie, — pociesz się, że jestem zawsze twym dłużnikiem. Skąd chcesz, kiedy chcesz, — przyjdź do mnie, a gdybym cię nie poznał, powiedz tylko jedno:

— Jestem ten Kastalski, któremuś wtedy w szkole myśleć i mówić nie dał. Jestem ten Kastalski, któremu matka podpowiedziała: „piętnaście".

Do ciebie, Kastalski, należy zawsze połowa mojej pracy. Sądzę nawet, że więcej: — połowa mego serca.

Najbiedniejszy uczeń

Sprawa wychowawczego bicia nie jest wcale tak prosta, jakby się na pierwszy rzut oka zdawało. Niektórzy uczeni są za biciem, uważają, że — stosowane w porę i w miarę — wcale nieźle robi kształcącej się młodzieży, inni znów są przeciw biciu i uważają, że można się bez niego doskonale obejść. Gdyby nasz zwykły klaps, którego dostajemy tu i owdzie, wiedział, ile wspaniałych prac z pomiarami i wyliczeniami napisano już o nim, byłby z pewnością dumny.

W moim wstępnym traktacie zająłem i w tej sprawie niejakie stanowisko, mówiąc, że wogóle niczego nie chcę poprawiać. Jedyną mądrością, jaką nieźle znam i którą mógłbym w rozprawie o biciu przytoczyć, jest moja własna skóra. Wychowawcy moi nieraz ją wcale niezgorzej garbowali.

Ale cóż, — żywa skóra zawsze mniej znaczy w świecie naukowym od drukowanego papieru, nigdy zatem nie uzyska należytej powagi. Nie wiem, czy należy sobie w szkole pomagać biciem, czy nie należy? Sądzę tylko, że jeżeli wchodzi ono w program naszego wykształcenia, powinno być robione uczciwie.

Tymczasem stała się swego czasu rzecz taka: —

W drugiej klasie ludowej śpiewaliśmy piosenkę, której tytułu, niestety, już nie pamiętam, o małej myszce. Myszka ta, znęcona zapachem słoniny, weszła na jakąś deszczułeczkę zastawionej pułapki. Tu przychodził taki mniej więcej koniec śpiewanego przez nas utworu:

„Paf, deszczułka się złamała,
„I ta myszka się złapała.

Wystarczy mi powiedzieć sobie w myśli ten wiersz, bym odrazu, — jakby od tego czasu nie minęło trzydziestu kilku lat, — bym odrazu zobaczył całą naszą klasę...

Stoimy w ławkach, jest już prawie ciemno, za oknami pada szary, ciężki śnieg. Nad katedrą widać naszego pana nauczyciela. Wymachuje rękami na trzy. Nie na cztery, bo piosnka o myszy jest, — jak nas pouczył, — mazurkiem. Już wnet przyjdzie miejsce, w którem mamy zaczerpnąć oddechu, by potem razem głośno krzyknąć „paf"! — i dalej już spokojnie „deszczułka się złamała" i t. d.

Śpiewamy o słonince, — teraz, jak mysz wylatuje i wącha tę słoninkę, jak ślinka napływa myszy do ust. Już przychodzi miejsce „paf", — ale tu pomyliłem się i z wielkiego rozpędu zamiast „paf" krzyknąłem — „hop"!

Poczem dalej spokojnie, — „deszczułka się złamała" i t. d.

Bieniarz, który siedział ze mną w jednej ławce,—

wielki obdartus, ale doskonały chłopiec, — Żydek Deyches, który stał przed nami i jeszcze inni wszędzie blisko usłyszeli, że nie śpiewam „paf", tylko „hop"!

Pan nauczyciel przestał machać i zaczął patrzeć na wszystkich pokolei. Ledwośmy mogli wytrzymać ze śmiechu. „Hop"! pokonało „paf"!

Pan nauczyciel kazał nam otworzyć książki na stronicy siedemnastej, gdzie była pod obrazkiem wydrukowana nasza piosenka.

— Proszę przeczytać, czy tam jest „hop", czy „paf"? — Bieniarz, — przeczytaj.

Bieniarz, który się bał pana nauczyciela najwięcej z całej klasy, zmarszczył brwi, podniósł książkę aż do oczu i przeczytał głośno:

— „Paf"!

— No więc proszę, jeszcze raz śpiewamy, — krzyknął pan nauczyciel.

Znowu przyszło miejsce o ślince, którą mysz zaczęła łykać, by nastąpiło „paf"!

Już nie połowa, — cała klasa zaśpiewała „hop! deszczułka" i t. d.

Pan nauczyciel odpukał i zrobił się czerwony. Tyle krwi napłynęło mu do twarzy, że się stała purpurowa. Śnieg padał dalej spokojnie za ciemnemi szybami.

— Który to z was wymyślił to głupie „hop"!? — spytał pan nauczyciel, ocierając pot z czoła dużą białą chustką. Wytarłszy także ręce, skrzyżował je sobie na piersiach.

Było to zawsze znakiem jakiejś nadchodzącej awantury.

Wszyscy spuścili oczy. Patrzyliśmy, jak najzręczniejsi aresztanci, naraz w dwie strony, niby na ławki — a równocześnie na nauczyciela.

— Któryż to z was wymyślił?

Nikt się nie przyznał. Ja też nie. Nie wymyśliłem przecież *wspólnego* śpiewania „hop"!

Krzepiła nas nadzieja, że jak zawsze tak i teraz wszystko się ostatecznie skrupi na Bieniarzu. Był w szkole za darmo, uczył się nieszczególnie, a pod koniec zeszłego roku matka jego za to, że zgubił podarowane ze szkoły książki, chciała pocałować naszego pana nauczyciela w rękę. Płakała, ale nie pozwolił.

— Pytam się po raz trzeci, który to z was wymyślił?

Nikt się nie przyznał.

Pan nauczyciel zbiegł ze stopni katedry i przyskoczył do Bieniarza, który stał obok mnie. Jak zawsze tak i teraz pachniało od naszego pana nauczyciela ślazowemi cukierkami.

— Bieniarz! Otwórz jeszcze raz na siedemnastej stronicy i przeczytaj głośno, żeby wszyscy słyszeli.

Bieniarz zbladł, otworzył na siedemnastej stronicy i niewiadomo czemu, najpewniej ze strachu, zamiast „paf" przeczytał *właśnie* „hop"! Chciał się zaraz poprawić, ale pan nauczyciel krzyknął:

— Teraz ci okulary sprawię!!

Okulary polegały na tem, że wsadził Bieniarzowi twarz nosem między otwarte stronice i terpał mu silnie włosy za uszami, wołając:

— Masz teraz okulary, żebyś mógł przeczytać, czy „paf"! stoi napisane, czy wasze głupie „hop"!

Bieniarz nie mógł już potem śpiewać. Wsparty na ławce, płakał. Powtórzyliśmy całą piosenkę jeszcze raz od początku. Kiedy przyszło niebezpieczne miejsce, wszyscy razem zaśpiewali zgodnie „paf! deszczułka się złamała" i t. d.

Godzina się skończyła, jużeśmy się zaczęli ubierać, do śniegu się nam teraz śpieszyło, pan nauczyciel stał jeszcze ciągle na katedrze, spocony.

Bieniarz płakał, łzy jego ciekły strugami po ławce. Stanąwszy całą kupą przy drzwiach, krzyknęliśmy mu na wszelki wypadek:

— Mazgaj, — strachopuda, — beksa!

Opowiedziałem to w domu nie zaraz, — o wiele później, — dopiero na Boże Narodzenie.

Ojciec mój niby się śmiał, — śmiał, — śmiał, — aż nagle wziął mnie mocno za obie ręce i tak blisko popatrzył w oczy, żem się odrazu zaczerwienił.

— Postąpiliście, jak ludzie niegodni, — powiedział, — niema większej hańby, jak odwaga na koszt cudzego cierpienia. Powiedz Bieniarzowi, — zacisnął usta i uderzył mnie mocno w lewe ramię, — że za to „paf"! czy „hop"! tyś też dostał. I to nie od nauczyciela. Że cię za to z wielkim bólem serca uderzył w ramię twój własny ojciec. Pamiętaj, powiedz to Bieniarzowi zaraz jutro.

Żyd

Żydzi chodzili z nami już do szkoły ludowej, ale zostawali czasem na nauce naszej religji, przytem byli ładnie ubrani, naprzykład nasz Deyches. Deyches przynosił świetne ciastka ze słodkiemi, żydowskiemi może, ale doskonałemi powidłami. Na wakacje jechał, — zawsze mówił, że „sam" jedzie, — jechał nad morze.

Więc choć byli Żydami, — jakby nimi nie byli.

Prawdziwych Żydów poznałem dopiero w gimnazjum. Było ich w naszej klasie aż dwunastu na czterdziestu trzech uczniów. W klasie drugiej B. Ile razy sobie przypomniałem, że są poprostu Żydami, — niecierpiałem ich. Mój starszy brat pytał nieraz, dlaczego? Odpowiadałem mu krótko, że dlatego, — bo tak.

— Ale dlaczego?

— Dlatego, że mi się tak podoba.

Właśnie wtedy bardzo się moje sprawy popsuły w matematyce i w łacinie. Matka moja pojechała (bo mieliśmy wtedy powóz) razem ze mną do naszego dyrektora gimnazjum, który wszystko wiedział, wszystkich znał, — gdyż chodził zawsze po całym budynku w cichych, filcowych pantoflach.

Dyrektor wziął mnie pod brodę, wogóle rozmawiał bardzo uprzejmie i zalecił mamie kilku korepetytorów z klasy mego starszego brata. W liczbie tych kilku był także niejaki Sontag.

Przez jedno „n", bardzo zdolny, — ale Żyd.

Mama, zrobiwszy miłosierny ruch ustami, chciała

przedewszystkiem wiedzieć, który z tych chłopców jest najbiedniejszy. Który jest, jak się wyraziła, „w najcieższem położeniu materjalnem".

— Jeżeli pani o to chodzi, — oświadczył pan dyrektor, — to najbiedniejszy jest niewatpliwie Sontag.

Sontag był synem starego kamizelkarza, oczywiście także Żyda, ale już prawie całkiem ślepego.

— Oni tam podobno nie mają nawet gdzie mieszkać, i właśnie syn utrzymuje poniekąd swych rodziców z korepetycyj.

— W takim razie, panie dyrektorze, — powiedziała moja matka, — niech już chyba będzie ten Sontag.

Doskonale pamiętam, jak była tego dnia ubrana. Miała piaskową suknię z jedwabnym fioletowym przodem, woalkę na czoło odwiniętą. W ręku trzymała pęk alpejskich fiołków.

Nic nie powiedziałem, dopiero kiedyśmy wsiedli do powozu, rzuciłem przez zęby jedno jedyne słowo:

— Parch.

— Co ty mówisz? — pochyliła się nade mną matka. — Coś ty powiedział?

Mruknąłem, — że nic.

Nazajutrz popołudniu przyszedł Sontag na lekcję. Chociaż ojciec jego był krawcem, nie stolarzem, zdawało mi się, że mój korepetytor pachnie stolarskim klejem. Klejem stolarsko-żydowskim, to znaczy jeszcze mocniejszym i nieznośniejszym.

Sontag miał zrośnięte brwi nad niebieskiemi oczami w czerwonych obwódkach. Zauważyłem, że

gdy mówi, robi mu się coś w ustach, coś mu się tam klei i lepi.

Rzecz bardzo nieznośna.

Odziany był nader nędznie, — wszystko wystarzałe, przetarte i pocerowane. Byłem zdziwiony, że tyle zbrodni i łotrostw, które popełnia jakiś naród, nie może temu narodowi zapewnić nawet porządnego przyodziewku.

— Z pewnością nosisz kamizelkę pod mundurem? — zauważyłem, chcąc w ten sposób zwrócić Sontagowi uwagę na lichą kondycję jego ojca, kamizelkarza.

— Naturalnie, że noszę—odpowiedział Sontag,— o wiele cieplej w kamizelce. — Rozpiął granatową bluzę i pokazał starą watowaną „kacabaję". — A ty?

— Ja nie noszę—odrzekłem z pogardą, postanawiając równocześnie, że dla takiego Żyda na złość *nic nie będę rozumiał.*

Dotrzymałem sobie obietnicy na tej lekcji i na wielu innych przez kilka długich tygodni.

Dawał mi matematyki. Tłumaczył, na czem tylko mógł: na jabłkach, śliwkach, orzechach. Żyły mu wychodziły na skronie, a czerwone powieki drżały tak prędko, że chyba mu musiały robić wiatr koło oczu.

— Rozumiesz teraz? — pytał, wyciągnąwszy do mnie drżące, zmarznięte dłonie.

— Nie rozumiem, — odpowiadałem spokojnie.

Zczasem Sontag poznał mnie już trochę i stopniowo zaczął „wykrywać", że udaję. Poznawał to z mego spojrzenia. Wtedy obrałem sobie kilka

punktów, by patrząc na nie, nie pokazywać mu oczu. Punktami temi były: obraz Juljusza Kossaka, wiązanka szarotek nad kanapą, metalowe kółko nogi fortepianu i czarna kropka, którą mam od urodzenia na przegubie lewej ręki.

W danej chwili Sontag zasłonił mi ją własną dłonią.

— Nie dotykaj mnie! — krzyknąłem z wściekłością.

Utkwił we mnie zdumione spojrzenie i długo rozwartemi oczami patrzyliśmy na siebie, aż mu powiedziałem bezczelnie prosto w nos:

— Moi koledzy mówią, że mam za korepetytora parcha.

— Twoi koledzy są głupi.

— No to są głupi, ale dalej — *nie rozumiem.*

Nieraz przychodził mój starszy brat, kolega Sontaga, i razem mi tłumaczyli. Brat mnie bardzo prosił, bym się starał zrozumieć, bo Sontag ma jeszcze oprócz mnie różne inne lekcje. Kiedyż wróci do domu i kiedyż się uczyć zacznie sam dla siebie?

O to mi właśnie chodziło, by nie miał czasu uczyć się dla siebie, by zgłupiał i sam też nic nie umiał!

Kiedy przyszło przystawanie trójkątów, męczarnie Sontaga podwoiły się, a może nawet potroiły. *Nie rozumiałem* nic od początku do końca. Wieczór już zapadł, już uczyliśmy się przy lampie, ja, na niby oczywiście — ani w ząb.

Sontag tak się jakoś usadowił, że mógł mi patrzeć prosto w oczy — a potem razem prosto w zeszyt. Pro-



sto w oczy — a potem znowu razem prosto w zeszyt. I tak od literki do literki, od kąta do kąta, od powierzchni do powierzchni, — aż nagle uśmiechnąłem się, chwycił mnie za ręce i krzyknął:

— Teraz widzę, rozumiesz! Rozumiesz!

Rozumiałem, ale wściekłość mną wstrząsnęła tak gwałtowna, że już nie myśląc, uderzyłem go w twarz.

Chwycił mnie za ręce, upadliśmy na dywan. Ściskał mnie za przeguby z całej mocy swych chudych, zimnych palców i krzywiąc boleśnie twarz, płakał. Ja też — naprzeciw niego, nos w nos.

Mieląc niezrozumiałe, mokre od łez słowa, leżeliśmy tak, póki w futrze,zaśnieżony jeszcze, nie wszedł nagle mój ojciec.

Pamiętam doskonale pierwsze jego słowa:

— Cóż to takiego znowu?

Na to otwarły się drzwi jadalnego pokoju, i wbiegła matka. Sontag i ja staliśmy na środku dywanu.

Ojciec, jakby Sontaga wcale nie było w pokoju, spytał odrazu mnie:

— Dlaczego płaczesz?

— Bo mu dałem w twarz.

— O, — rzekł mój ojciec, — to wspaniale. — Zapalił papierosa i dodał:

— A za co?

Nie odpowiedziałem.

— Więc jakże? — spytał wtedy Sontaga.

Nie mogąc już wytrzymać, krzyknąłem:

— Dałem mu w twarz, — bo zrozumiałem!

Ojciec usiadł na kanapie, pociągnął do siebie lekko

Sontaga, oparł rękę na jego ramieniu i powiedział parę słów, ale takich, że do dziś noże mi się od nich obracają w piersiach. Powiedział, że ojciec Sontaga kocha swego syna, tak samo, jak mój ojciec mnie kocha. Że matka Sontaga, bezwątpienia — stara Żydówka, kocha swego syna, jak moja matka mnie. Że gdyby stary kamizelkarz zachorował, jego syn Sontag cierpiałby nad tem tak samo, jak ja nad chorobą swego własnego ojca.

— Rodzice i dzieci, — niema nic innego na świecie, tylko to.

Trzy razy powtórzył: — Tylko to. Tylko to. Tylko to.

Poczem mój ojciec, który nas — swoich synów — tak rzadko całował, objął za szyję Sontaga, pocałował go w czoło i, zwróciwszy się do mnie, rzekł:

— Za takie rzeczy nie warto nawet karać, — można tylko współczuć. Nic więcej.

Z oczami łez pełnemi uciekłem z salonu do kuchni, potem, choć to była zima, aż na strych. Tu mnie znalazła matka i sprowadziła nadół.

Poszliśmy jeszcze tego samego dnia do sklepu z kwiatami, a potem pojechaliśmy do starych Sontagów.

— Sam zaniesiesz,—powiedziała mi mama w bramie starego, ciemnego domu. — Przecież to właściwie tylko twoja sprawa.

Poleciałem na górę, czuć tam było cebulę i czosnek, dopukałem się nareszcie do drzwi, które otworzył stary, siwy Żyd.

— To od mojej matki dla pani Sontagowej, — zawołałem na progu i, położywszy nasze białe róże tuż obok żelazka na długim stole krawieckim, uciekłem.

Profesor

Uważam, że mój *„Rozumowany traktat poparty przykładami"* nie będzie zupełny, o ile się w nim nie zajmiemy choćby na końcu sprawą nauczycieli. Mamy w szkole, mówiąc poprostu, dwojakiego rodzaju profesorów: dobrych i złych. Dobrych zazwyczaj nie pamięta się prawie wcale, nie nastręczają bowiem żadnego kłopotu uczniowi. Praca pod rozumnym kierunkiem płynie gładko, i dopiero kiedyś później, po latach, gdy już jesteśmy dorośli, — spotykamy w swem życiu cenne ślady kochanego ich trudu. Trud ów leży na dnie wszystkich naszych umiejętności, a w ciężkich chwilach życia przeziera i prześwieca niby złoto przez piach.

O złych kierownikach pamięta się ciągle. Życie raz wraz wytyka nam ich wady. Cierpimy przez nie nieraz bardzo dotkliwie, skazując wzamian pamięć złego kierownika na najcięższą karę, jaką człowiek może człowiekowi wymierzyć, to jest na karę wzgardliwej śmieszności.

Oprócz nauczycieli dobrych i złych bywają jeszcze inni, mianowicie obojętni. Obojętnością swą wznoszą oni między uczniami a sobą jak gdyby mur, po którego obu stronach urasta chłód i niechęć. Zdarza się, że potem nagle ni z tego ni z owego pragną

nagle wychylić się z za tego muru i wyciągnąć do nas kochające ręce. Ale wtedy już jest za późno i nie można się porozumieć.

Szkoła powinna być tem jedynem miejscem na świecie, w którem na nic nie jest nigdy za późno.

Taka właśnie rzecz przytrafiła się nam z naszym profesorem greki, Gorzkowskim. Przytrafiło się, że z za szarego muru swej obojętności wychylił się nagle do nas i wyciągnął spragnione ramiona. Odpowiedzieliśmy rykiem bezwzględnego śmiechu, za co Gorzkowski przeklął siebie i nas, — przeklął z katedry naszą wspólną pracę.

Było to tak: —

O wszystkich innych profesorach wiedzieliśmy coś, prawie nic, — aleśmy wiedzieli. Coś ludzkiego, zwykłego, osobistego. Nasz przyrodnik bał się szkieletu, profesor niemieckiego był pijakiem, łacinnika odprowadzały zawsze do gimnazjum jego dwie małe córeczki, katecheta był domowym prałatem papieskim, fizykowi nie udawały się nigdy doświadczenia, historyk zwalczał papiestwo, matematyk był synem chłopa, dyrektor chodził w filcowych pantoflach.

O Gorzkowskim — nic. Nawet ubrań na lato nie zmieniał, zawsze w tych samych wysiedzianych spodniach, w tym samym żakiecie, w tej samej czarnej krawatce. Nawet nas z twarzy nie pamiętał, wywołując tylko według nazwisk ze spisu.

Był zawsze taki sam, zawsze tak samo patrzył półprzymkniętemi oczami, czyto gdy „tłukł" z nami aory-

sty, czy gdyśmy Homera „rozbierali", czy gdy się Xenofontowi zaczynał pokazywać „na piątej parasandze świeży poślad koński". Nawet notes miał Gorzkowski przez parę lat ten sam, tak samo równo obsiany na wszystkich stronicach pokurczonemi „stopniami".

Na wiosnę i w lecie można było jeszcze jakoś wytrzymać na jego godzinach, ale późną jesienią czy w zimie „ludzie się urywali". Był tak nudny, że nie warto było „wyrabiać". Kipieliśmy więc nad cudowną tarczą Achillesa, łykając tak straszne ziewy, że nam od nich szczęki wyskakiwały ze stawów.

Nuda, którą umiał roztaczać Gorzkowski, była tak potężna, powiedziałbym — tak w swoim rodzaju znakomita, że ogarniała nas już zawczasu nawet przed jego przyjściem.

Któż nie zna niebywałych wspaniałości tej krótkiej chwili między dzwonkiem a nadejściem profesora?! Wtedy właśnie wymienia się najlepiej pióra, marki, książki. Ale przed nadejściem Gorzkowskiego nic się w tym czasie nie dzieje. „Ludzie" patrzą w mętne, zapotniałe szyby i śpią.

Otwierają się drzwi, wstajemy i nawet nie patrzymy na niego. Poco, — nie zmienia się, jest zawsze taki sam, tak samo stąpa, tyle samo kroków daje zawsze od drzwi do katedry.

Dziś — choć był tak samo ubrany i dał tyle samo kroków, — nie siadł. Dalej stoi. Czekamy, aż padnie zwykłe, martwe: — „Siadać"!

„Siadać" — nie pada.

Gorzkowski spojrzał w zapocone okna — i wodzi mętnym przepisowym wzrokiem pomiędzy ławkami. Zaczyna od prymusa Barańskiego, wzdłuż pierwszej ławki przeszedł już między średniakami, zlustrował wszystkich dryblasów na szarym końcu sali.

Co dalej?

Nic.

Ogląda ściany.

Nagle wyrzucił przed siebie ręce leciutko, jakby łapał motyla, roześmiał się do siebie cichym, bladym śmiechem i rzekł powoli w senną ciszę klasy:

-- Mamy syna.

Nikt nie odpowiedział. W pierwszej chwili nie rozumieliśmy poprostu, co to znaczy. Czy „mamy syna" będzie miał zaraz ktoś na grecki przetłumaczyć, czy jest to tytuł zadania, czy początek serji jakichś nowych wyjątków.

Gorzkowski stulił przy sobie ręce i, długą szyję wyciągnąwszy z luźnego kołnierzyka, powtórzył nieśmiało:

— Mamy syna.

Klasa „jako taka" nic jeszcze nie odpowiedziała. Tylko stare dryblasy z szarego końca, którym „i tak wogóle na niczem nie zależało", spytały z ostatnich ław:

— To znaczy, że pan profesor ma syna?

— Tak — odpowiedział Gorzkowski, kładąc ostrożnie swój czarny notes przed sobą. — Mamy syna od dziś, od piątej rano.

— Ten ci będzie znał grekę — huknął w zupełnej ciszy najstarszy z dryblasów.

Słowa „ten ci będzie znał grekę" okazały się hasłem dla całej klasy. Nie siadając, stojąc dalej w ławkach, zaczęliśmy teraz na wyrywki pytać Gorzkowskiego „o wszystko". Czy już „odrazu" mówi syn pana profesora, czy ma „wszystkie" włosy na głowie, czy nie ma sześciu palców u ręki, czy już odmienia „pajdeuo", jakie powiedział pierwsze słowo?!?

— Jak mówi? — jak mówi? — huczała cała klasa?

Gorzkowski wyrzucił przed siebie chude, żółte ręce, jakby znów łapał małego motyla. Ucichliśmy natychmiast. Zapatrzył się w ścianę, zmarszczył czoło, podniósł wysoko szare, „zakurzone" brwi, przypominając sobie z ogromnym trudem coś, co należy koniecznie wiernie powtórzyć.

— Jak mówi? Naturalnie, że nie mówi po grecku. Ani wcale po żadnemu. Mówi — „au, — au, — au".— Zapatrzony w ścianę, jął Gorzkowski cicho, nabożnie skrzeczeć, udając kwilenie małego dziecka.

Klasa wybuchnęła żywiołowym rykiem. Tłukliśmy „z radości" w ławy, tupaliśmy, książki spadały z pulpitów, latały w powietrzu. Ktoś przyszedł do tablicy i napisał pośpiesznie: „Niech żyje syn pana profesora Pajdek"!

Nawet Barański śmiał się i ze wszystkimi krzyczał.

Dryblasy biły się po głowach, kurz mieszał się z krzykiem. Największy z dryblasów Faliszewski sta-

nął nagle na ławce i wrzasnął w imieniu całej klasy na całe gardło:

— Prosimy pana profesora, żeby syn pana profesora był także profesorem!!

I wtedy stała się ta straszna a przez nikogo nieoczekiwana rzecz. Gorzkowski porwał z katedry swój notes, cisnął nim o ziemię i ryknął:

— Milczeć!!!

Zapatrzony w ścianę, jakby nie do nas, a do tych murów szkolnych wołał, aż mu się w piersiach obrywało:

— Raczej kamienie będzie na drodze łupał, — raczej kamienie!...

Chcieliśmy sobie z tego nic nie robić, już nawet któryś z dryblasów wrzasnął — „niech żyje kamieniarz"! — gdy drzwi się otwarły, i w cichych, filcowych pantoflach wkroczył sam pan dyrektor.

Kazimierzowi Wierzyńskiemu

S Ł A W A

(Czyli prawdziwa opowieść o człowieku, któryby robił całkiem co innego)

Dawno już było nakryte do obiadu, a ciągle jeszcze musieliśmy czekać. Mama raz po raz zaglądała do kuchni i wracała z odgrzanemi wypiekami na twarzy.

— Mówię ci, że przesiąkniesz zapachem, — złościł się ojciec, — u nas zawsze wszystko musi być w małomiejskim sosie.

Jeden Tomasz nie tracił spokoju. Wszystkim leciało ciągle wszystko z rąk, Tomasz chodził poważnie dookoła stołu, jak przed Święconem. Niby coś poprawiał. Tu przełożył widelec, tam obrównał serwety, ale głównie podciągał białe niciane rękawiczki.

— Bo, proszę pana doktora, nigdy się toto nie trzyma na rękach. Spada z człowieka, za przeproszeniem, jak za duże portki.

— Nie będziecie do stołu podawać w skórzanych, — odpowiedział mój ojciec, przechodząc z jadalnego do salonu.

Przed każdymi ważnymi gośćmi lustrował wszystkie pokoje, dając „ostatnie dotknięcia". Pobiegliśmy, aby „razem odbyć" salon, kancelarję i pokój matki, przygotowany dla stryjostwa.

Dla mego stryja śpiewaka i dla jego żony stryjenki.

— Ciągle jeszcze jadą, — zawołałem, patrząc na łóżka rodziców, pożyczone gościom.

Nakryte były turecką makatą, która dotąd wisiała w salonie na honorowem miejscu.

— Nietylko jadą, ale możnaby powiedzieć — ojciec wyciągnął z kamizelki złoty zegarek, — że poniekąd już dojeżdżają.

Od chwili, gdy przyszła depesza, ciągleśmy się pytali o ową jazdę. Gdzie są teraz? Gdzie za godzinę? Gdzie za dwie godziny? Musieliśmy nieustannie czuć zbliżanie się przyjazdu. Tyle było ciągle jakichś przerw. Zbliżają się, zbliżają, tymczasem okazuje się, że znów przestają jechać.

Cały dzień mieli być w jakiemś niemieckiem mieście, gdzie stryj występował wieczorem.

— Nie boi się przed tyloma obcymi, Niemcami?— spytałem nagle, o zmroku, w kancelarji.

— Może się i boi, ale on nigdy nie pyta, tylko wali śmiało naprzód i basta.

Wali naprzód.

— Wali naprzód przed obcymi Niemcami?

— Ma się rozumieć. — Ojciec podniósł z podłogi zapałkę.—Co ty sobie właściwie myślisz? Że Niemcy, to niby co?

— Nic nie myślę, — odpowiedziałem, — ale zawsze...

— Ale zawsze? No więc cóż z tego? Niemiec nie Niemiec, Czech nie Czech, Włoch nie Włoch, — bójno ty się tylko Boga, wobec takiego głosu?!

Przerwa w zbliżaniu się przyjazdu sprawiła, że mieliśmy wcale nie pójść do szkoły. Całe popołudnie świetnieśmy się bawili, a wieczorem odbył się przegląd naszych papierzanych żołnierzy. Przyjazd wyłonił się znowu dopiero po kolacji. Wtedy to ojciec odepchnął filiżankę herbaty, złożył gazetę, popatrzył na zegarek i powiedział:

— Tak, tak, — teraz już śpiewa.

Tu u nas nie mogło być słychać, ale mama zapatrzyła się w lampę i, uśmiechnąwszy się, słuchała.

Pożegnaliśmy się, umyli i poszli spać.

Już zasypiałem, gdy mój starszy brat, Irzek, podniósł się na łóżku i kazał mi być cicho.

Lampka oliwna pstrykała na oknie.

— Ciekawym, czy jeszcze śpiewa? — szepnął tajemniczo.

Przyłożyliśmy uszy do ścian, Irzek bowiem twierdził wtedy, że mury są doskonałym przewodnikiem. Słychać było przytłumione chodzenie po dywanie. Zawołaliśmy głośno, obaj naraz.

We drzwiach zjawił się ojciec.

— Czy jeszcze śpiewa? — spytał Irzek.

— Cóż to znowu za głupstwa? Spać mi tu zaraz! — Poczem, spojrzawszy na zegarek, ojciec nasz

westchnął i powiedział: — Kwadrans na jedenastą. Tak, teraz śpiewa trzeci akt. Dobranoc.

Przylgnęliśmy posłusznie do poduszek. Po wyjściu ojca Irzek powiedział: — Śpiewa trzeci akt. To znaczy, że przedstawienie jest w trzech aktach. Albo w czterech? Albo może w pięciu?

Więcej nie słyszałem, gdyż usnąłem. Nazajutrz od rana zaczęło się jeszcze raz sprzątanie połączone z nakrywaniem. I tak trwa do teraz. Teraz Tomasz chodzi w białych rękawiczkach dookoła stołu, ojciec robi ostatnie dotknięcia, a ci jak nie przyjeżdżają, tak nie przyjeżdżają.

— Więc naprzykład, — spytałem podstępnie, — ile tak mogą mieć jeszcze stacyj do przebycia?

— Na stacje biorąc, — odpowiedział ojciec, — sądzę, że z jakie dziewięć.

— Dziewięć! — jęknęliśmy.

— Dziewięć, ale przecież stryj jedzie kurjerem. Nie zatrzymuje się znów tak wszędzie po drodze.

Na każdym kroku robi nasz stryj coś niezwykłego. Zajeżdża do wszystkich miast i śpiewa, a potem nagle wcale się nie zatrzymuje.

Z sypialni pobrodził ojciec (przegląd mieszkania nazywał się także brodzeniem) do gabinetu, podarował nam mimochodem kilka kalendarzy lekarskich i razem z niemi poszedł do naszego pokoju, do dziecarni.

Wszystko tu było w porządku, ławka szkolna stała równo pod oknem, ale ojciec na widok półki z zabawkami wykrzyknął:

— Ba!

„Ba" nie znaczyło w tym wypadku nic dobrego. Zaczęliśmy jeszcze raz ściągać wszystko z półek, tymczasem na progu w czarnej sukni, obszytej białym puchem, ukazała się mama. Miała białą różę we włosach.

— Chyba już nie przyjadą dzisiaj. — Złożyła po swojemu ręce.

Ojciec podniósł głowę, równocześnie zadzwonił dzwonek w przedpokoju, wielki nakręcany bąk wypadł mi na podłogę. Poskoczyliśmy do drzwi, w których ukazał się najspokojniej w świecie Tomasz ze słowami:

— To do pana doktora.

Stanęliśmy, jak wryci, ojciec uderzył się w czoło aż klasnęło:

— Mówiłem Tomaszowi, — żadnych chorych! Czy może być coś prostszego, — mówiłem tak wyraźnie.

I tak jakoś z wielkiego czekania zrobiło się zwykłe porządkowanie.

— Wszystko, wszystko, — powtarzał ojciec. Zwijaliśmy się przed półką, zapychając niewygodne rzeczy w dalekie ciemne kąty.

Na szczęście nie patrzył na nas. Gniewał się na mamę za różę.

— Nie znam się na waszych modach, — te jakieś piórka, obszycia, wszystko jedno, ale żeby ktoś bez żadnego powodu kładł sobie kwiaty na głowę? Zresztą róbcie, co chcecie.

Chociaż to się nas nie tyczyło, odpowiedzieliśmy, że na najwyższej półce zrobimy miejsce dla prezentu stryja. Napewno *coś* przywiezie.

Ojciec skrzywił się wyniośle:

— Jeżeli ktoś przyjeżdża, trzeba się cieszyć, że przyjeżdża dana osoba a nie wiecznie myśleć, co nam dana osoba przywiezie.

Mimo to Irzek wyścielił półkę czystym, złotym papierem. Pokryjomu równało się to „umieceniu przez tubylców wigwamu na cześć dawno oczekiwanego gościa". Właśnie świeży arkusz przybiliśmy na wierzchu, gdy rozległ się krótki, ostry dzwonek. Jak ukłucie.

— Teraz napewno oni! — krzyknął ojciec.

Rzeczywiście był to już stryj, — ale chyba nikt na świecie nie umiał tak otwierać drzwi przedpokoju, jak nasz Tomasz!

Stryj trzymał w jednej ręce podróżną czapkę, w drugiej psa na smyczy. Z za olbrzymiego kołnierza stryjowskiego widać było stryjenkę w jakiejś czarnej atłasowej pierzynce. Ztyłu tłoczył się ich syn, — mały, mniej więcej, jak ja.

W czerwonej czapeczce.

Ojciec czekał na środku przedpokoju z rozwartemi ramionami. Myśmy się schowali za ceratową kanapę Tomasza. Na schodach słychać było ciężkie stąpanie kilku ludzi, którzy coś nieśli.

Pewno kufry z prezentami!

Stryj nie skoczył w ramiona ojca i wogóle, jakby nikogo nie zauważył. Pochyliwszy się nad białym psem w czarne łaty i kropki, powtarzał raz za razem:

— Ledi, Ledi, prosimy o spokój. Tu też znajdą się cielęce kotleciki. Tu się też dla nas znajdą cielęce kotleciki.

Nie chodzi o to, co mówił, — ale jak! Jego śliczny głos wypełnił odrazu cały przedpokój.

— Widzisz, mój drogi, — teraz grzmiał do ojca,— panna Ledi jest tak zdenerwowana!

Piesek zaskuczał, stryj ukląkł prawie i też zaskuczał. Tymczasem stryjenka całowała się z naszą mamą, a syn stryja, nasz brat, czekał, zawinięty szalem, aż go odkręcą. Ludzie nieśli do przedpokoju trzy ogromne kufry okute. Tomasz wspaniale rozkazywał, pokazując drogę do mieszkania.

Stryj „za całe przywitanie" pogłaskał nas tylko po głowach.

Nareszcie odbyło się wejście.

Mama ze stryjenką poszły pierwsze, za niemi stryj z ojcem, za nimi my. Pytaliśmy po drodze nowego naszego brata, Karola, czy są jakie prezenty? Były, — i to podobno wspaniałe. Nie dało się o tem dłużej mówić, bo ojciec usłyszał już trochę i srogo zmarszczył brwi. Przestaliśmy odrazu, tem bardziej, że żal nam teraz było ojca.

Był mniejszy, chudszy, cichszy od śpiewaka, — napewno biedniejszy. Stryj miał bródkę zaostrzoną w dwa złote różki, jak święty z obrazka, ojciec zwykłą brodę w jeden rożek. Stryj pachniał, niewiadomo czem, bo nie była to perfuma. Może te wszystkie miasta, cała droga daleka, przez którą jechał, może na-

wet trochę sam głos w nim pachniał?... Ojciec nasz tylko sobą i zwykłym doktorskim karbolem.

Stryj właściwie nie szedł, lecz stąpał, jak trzej królowie-monarchowie, to patrząc pod nogi, to odbijając się wzrokiem dumnie pod górę. Niby ku wybranej gdzieś gwieździe. Ojciec szedł zwykłym, uważnym krokiem. Właściwie wyglądał na o wiele gorszego i słabszego stryja.

Gdy siedli w salonie na naszych morelowych fotelach, wziął zaraz Karola na kolana. A stryj? Nic podobnego! Jakby nas wcale nie widział. Siedział dla siebie samego, a i tak zrobił odrazu rzecz, z powodu której nie mogliśmy oczu od niego oderwać...

Natężył się lekko i przerzucił w sobie głosem. U innych ludzi nazywa się to zwykłem chrząknięciem. Ale stryj nie chrząknął, tylko jakby złoty kamień potrącił w sobie i na lepsze miejsce przestawił.

Można było słuchać tego przestawiania bez końca.

Stryjenka otworzyła drzwi, — że ludzie od kufrów czekają na pieniądze. Stryj jęknął groźnie a prześlicznie, ojciec wstał i poszedł zapłacić.

Zostaliśmy przy stryju tylko my, Karol i Ledi.

Karol bawił się otwieraniem i zamykaniem klawjatury. My z Irzkiem staraliśmy się przypochlebić Ledi. Głaskaliśmy ją po czole i za uszami. Warczała zpodełba.

Stryj ziewnął, przeciągnął w sobie strunę i spytał, czy uczymy się grać?

— Bo, — dodał, pokazując palcem Karola, — mój pan Karol jest niemuzykalny, jak pień.



Nie śmieliśmy nic odpowiedzieć, zresztą stryj wcale na to nie czekał.

— Patrz, Karolu, — rzekł, — jak wyglądają twoi bracia?

Naturalnie, — mieliśmy dziś nowe ubrania.

— A ty zawsze obdarty i brudny, jak szewc!

Karol cicho odszedł za fortepian.

— Prawda Ledi, jak szewc!

Zazdrościliśmy jej z całego serca. Trzymał ją na kolanach i ciężkiemi rękami gładził po nogach, śmiejąc się: — cielęce kotleciki, — cielęce kotleciki.

Nagle zepchnął psa i, wsłuchawszy się uważnie w powietrze naszego pokoju, zaśpiewał, a raczej powiedział do samego siebie parę liter.

Były tak dźwięczne, że odrazu jakby się od nich rozszedł blask po całym salonie.

Na to ukazał się w drzwiach ojciec i zawołał:

— Ho, ho, ho! — Ale mama już jest, przejdziemy do jadalni.

Mama mego stryja i ojca, czyli nasza babka czekała w stołowym, żeby ukochany syn pierwszy do niej przyszedł. Później, przy czarnej kawie opowiadała, że serce jej „wtedy" chciało wyskoczyć z radości.

Na przywitanie babki patrzyliśmy z oburzeniem. Nigdyby nie potrafiła witać się tak z naszym ojcem. Stryj trzymał w jednej ręce sznurek od Ledi, drugą przyciskał babkę do siebie, wznosząc ostrożnie złotą bródkę nad czarnemi szkiełkami babcinego czepca. Głaskała syna po włosach. Z płaczem przysuwała go do siebie i odsuwała.

W tabaczkowem, szorstkiem ubraniu wyglądał chyba, — jak wspaniały dąb.

Wszystko, co było w naszym domu nowego, najlepszego, chowanego tylko na największe święta, wystąpiło dzisiaj do stołu. Nigdyśmy nie myśleli, że się tak trzeba wszystkiem z gośćmi dzielić. Gdyby nie mama i trochę, trochę Tomasz, nie jedlibyśmy nic przy tym obiedzie.

Ledi dostała przed nami specjalny kotlecik cielęcy, skrobany. Zresztą wszyscy słuchali stryja. Jadł tak samo, jak mówił, patrząc od czasu do czasu wgórę, mimo lampy, w jakieś inne, jeszcze większe światło, niby w wybraną gwiazdę. Musiał ją po swojemu dostrzegać, bo mu się powieki same ostro mrużyły.

Opowiadał rzeczy, które nas zachwycały, choć nie rozumieliśmy z tego wszystkiego ani jednego słowa.

Były tam dalekie miasta o dziwnych „śpiczastych" nazwach, wyprzedane sale, zachwycone tłumy, jacyś dyrektorzy, przy których stryj prawie stale wymawiał słowo „szubrawcy", mimo że mu babka niespokojnie wskazywała na nas oczami. Były światła, kulisy, kwiaty, wieńce, loże, różne obce języki. Mieszały mu się w opowiadaniu, jak srebrne papierki cukierków, które zginał w palcach.

Po obiedzie Karol przyznał się w dzieciarni, że nigdy jeszcze w życiu tak dużo nie jadł. Jeszcze mu dotąd bije serce od tylu znakomitych potraw. W zakładzie, w którym był, prawie nic nie jedzą.

Może być, — miał bardzo chude policzki. Poka-

zaliśmy mu kołnierze naszych ubrań, które nam matka wyhaftowała.

— Ja mam zawsze ten mundur, — mruknął z pogardą, szarpiąc na sobie bluzkę.

Zazdrościliśmy mu munduru i że już nie wymawia kilku polskich liter. Irzek pierwszy to odkrył. Poszliśmy do salonu, żeby powiedzieć mamie. Nie dla skarżenia, ale jako ciekawą rzecz. Stanęliśmy cierpliwie koło jej fotela, czekając, aż się zrobi przerwa w rozmowie.

Stryj ciągle jeszcze opowiadał.

Nareszcie zrobiła się przerwa i już mieliśmy szepnąć o Karolu, gdy właśnie w tę przerwę wsunął się cicho głos babki:

— Tak nam to opowiadasz i opowiadasz, a czybyś nie chciał lepiej zaśpiewać czegoś?...

Zbladł i krótko zapytał: — Co?

— Myślałam sobie poprostu...

— Teraz, po obiedzie?! — krzyknął ostro. — Wam się wszystkim zdaje, że śpiewać, to to samo co spać, jeść.

Przestraszyliśmy się.

— Myślałam poprostu, że sprawi ci to przyjemność.

Krew mu uderzyła do głowy i powiedział dobitnie:

— Życiem się, mamo, przypłaca tę przyjemność.

Wobec tego ojciec nasz uznał, że trzeba się iść przejść. My z nimi, — Ledi, Irzek, Karol i ja. Stryj w cylindrze, ojciec w meloniku, Karol w czerwonej

czapeczce i Ledi na smyczy. Przy połowie piętra stryj zatrzymał się i parę razy przedrzeźniał: — Zaśpiewaj, zaśpiewaj, zaśpiewaj! Wszystkim wydaje się to takie proste...

Obeszliśmy dokoła Sukiennice. Ze względu na głos stryj nic podczas całego spaceru nie mówił. Odezwał się tylko raz w cukierni, gdzieśmy kupowali ciastka:

— Mój Boże, jakaż to malizna.

Pierwszy raz wtedy wstydziliśmy się naszego kochanego miasta.

— Jedno tylko macie śliczne, — zaśmiał się później ukradkiem na ulicy Brackiej, — to ten śnieg.

Zakutany po uszy, wyciągnął dłonie i patrzył, jak mu spadają na palce białe, lekkie płatki.

— Na całym świecie niema chyba takiego śniegu.

I tak, we wspaniałem futrze, czekał z przymkniętemi oczyma i z wyciągniętemi przed siebie rękami.

Na ulicy Brackiej wstąpiliśmy do innego mego stryja, profesora i jego małej córki, Ady. Miał oprócz tego jeszcze synów i żonę, ale *naprawdę* liczyła się tylko Ada. Nie podobał się jej stryj-śpiewak. Krzyczała cały czas, a on się z nią drażnił, jak z małem zwierzątkiem. Zdawało się na końcu, że się już pogodzili. Wziął ją na ręce. Właśnie wtedy ugryzła go w palec tak mocno, że aż krew poszła.

Wizyta u profesora, jak z tego widać, niebardzo się udała i wieczór spędziliśmy w domu przy kominku. Stryj zasiadł obok mego ojca. Rozwalił się przed płonącemi szczapami. On jeden chyba umiał tak trzy-

mać rękę nad ogniem, — jakby błogosławił płomieniom.

W pewnej chwili zawezwano go do sypialni, żeby coś zrobił z kuframi. Nie mogą „tak stać wiecznie". Poszliśmy wszyscy. Sterczały na środku wielkiego pokoju. Kluczyki od nich nosił stryj na specjalnym złotym łańcuszku.

— Rozumiesz mnie, — prawił do ojca, chodząc koło skrzyń, jak ksiądz koło ołtarza, — możesz śpiewać anielsko, — wszystko na nic, jeżeli się *im* nie dasz napatrzeć. Rozumiesz? Muszą się najeść oczyma. Ileż razy na scenie czuję, czuję poprostu, że mnie jedzą.

Słuchaliśmy tego ze zgrozą.

Pootwierawszy skrzynie, zaczął wydobywać kostjumy. Stryjenka chciała pomóc. Krzyknął, a raczej zatrąbił na nią złotym głosem tak srogo, że odrazu wróciła na swe krzesełko.

Nigdyśmy jeszcze takich skarbów nie widzieli. Ze skrzyń wypływały całe rzeki jedwabiu, niby delikatną pajęczyną oprzędzonego haftem.

— Wszędzie ręczny. Wszędzie prawdziwy. — Stryj wskazał palcem na stryjenkę. — Ona, — ona. Całe miesiące pracy. Ha, — trudno.

Rzeki jedwabiu, srebrne zbroje, chodaki nabijane szklanemi kamieniami, miecze, błyszczące tarcze, kilka prześlicznych peruk z długich „żywych włosów".

Tomasz musiał uprzątnąć z szafy rzeczy moich rodziców. Wstawiało się tam ostrożnie królewskie sza-

ty mego stryja, który, przekładając z ręki do ręki pyszne materje, przymykał oczy, ostrem światłem źrenic odnajdywał wybraną gwiazdę i śmiał się:

— Rozumiesz? Blask, blask, — wszystko jest w tym blasku.

Nagle okazało się, że na dnie jednej ze skrzyń jest naprawdę coś dla nas.

Co?

Cała kolej!

Była to kolej, prawie że prawdziwa, ze składanemi szynami, zwrotnicami, stacjami, świetnie nakręcana, na ciężkich kołach, lanych z prawdziwego żelaza.

Nawet Karol wylazł teraz z ciemnego kąta. Chcieliśmy ją zabrać i przedewszystkiem postawić na wyścielonej półce.

Stryj nie dał. Musiał przedtem wszystko sam pokazać.

Usiedli razem z ojcem na podłodze, zestawili szyny — i pociągi zaczęły jeździć dokoła foteli. Fotele nazywały się teraz imionami miast, w których stryj niedawno występował.

— Patrz, — wołał do ojca, — tu wysiadamy, tu się przesiadamy, a tu znowu mamy szalone powodzenie.

Nasz pociążek pilnie terkotał, stryj sunął za nim szybko po podłodze. Nie dali nam się bawić tego wieczora lokomotywą, a jutro rano trzeba było iść do szkoły. Mówiono zpoczątku, że nie pójdziemy, ale stryj musiał się ćwiczyć.

Wtedy nie wolno być nikomu w domu. Ja zostałem — był to prawdziwy cud — z powodu zaczerwienionych migdałów. Rodzice wyszli na palcach, Tomasz pilnował przedpokoju, by nie dopuścić, broń Boże, żadnych chorych.

Zostaliśmy we dwoje, ja u siebie w łóżku, Ledi u stryja w salonie, gdzie właśnie pracował.

Dobrze, żem wytrzymał, żem z łóżka nagle nie wyskoczył i nie uciekł do Filipiny do kuchni. Zpoczątku nic strasznego. Brząkał tylko w klawisze. Ale potem brząkanie przeszło mu w głos, który piął się do góry i spadał, — piął się do góry i spadał, — coraz większy, mocniejszy — jak skała.

Cisza. Potem stryj nagle do samego siebie: — Nie, błaźnie, jeszcze raz!

Skuliłem się ze strachu na łóżku.

Głos znów się zaczął wspinać, lać, rozlewać, huczeć w całem mieszkaniu, kruszyć i znów łączyć, niby roztopione złoto przepływać, póki Ledi nie zawyła. Wtedy otwarły się nagle drzwi salonu i, kopnięta z całych sił, potoczyła się, jak kłębek białej włóczki, od drzwi przez całą kancelarję, aż do naszego pokoju.

Na progu ukazał się stryj z okrzykiem — bydlę!

Był wspaniały i straszny. Oczy miał całkiem białe, nasycone wytężonem światłem, twarz rozognioną, pełną najokropniejszej troski. Nie zamknął za sobą drzwi.

Chodząc tam i napowrót, toczył ze siebie i ciągnął, i kuł i hartował swój głos. To znów przystawał, wy-

rzucając w powietrze duże, białe dłonie, i jakby w poszukiwaniu ostatniej deski ratunku, wołał: — Nie, nie, nie!!

Jeszcze raz ostrzył ogromne tony od początku. Wziąłem Ledi do łóżka, żeby cicho siedziała — głos łamał się stopniami pod górę — pod górę. Stryj znów z rozpaczą wyciągnął ręce przed siebie.

Płakałem, Ledi mnie lizała po twarzy. Siedzieliśmy we dwoje cichutko, gdy stryj nagle krzyknął w salonie:

— Cóż to za piekielna męczarnia!!!

Wlepiliśmy się z Ledi w poduszkę. Przebaczyłem teraz stryjowi, że kopnął niewinne zwierzę, że nam nie dał pociągu, że rzeczy moich rodziców zostały wyrzucone z szafy, przebaczyłem mu wszystko, byleby wyszedł już raz nareszcie tym głosem, — jak mi się zdawało — na sam szczyt powietrza.

Rano mu przebaczyłem, a wieczorem darowałbym za darmo całe swoje życie. Sądzę nawet, że wszyscy, którzy wtedy u nas w salonie siedzieli i słuchali, tak samoby zrobili.

Ze wszystkich gości pamiętam tylko pana „autora" — ojciec na niego tak mówił — to znaczy pana Galla. Mówili sobie ty.

— I co ty na to, Gallu — pytał ojciec, przesiadając się z krzesła na krzesło.

— Co ja na to? Niewiadomo. — Powiedział „niewiadomo", rozwinął napisane nuty i zaczął bębnić palcami po dużych czarnych kropkach.

Nikomu się nie udawała rozmowa. Babci trzęsły

się poprostu ręce. Żona pana Galla siedziała, „jak mumja". Stryj rozmawiał ze wszystkimi i coraz lekkiem chrząknięciem przeciągał sobie w piersiach złotą strunę. W pewnej chwili powstał i powiedział:

— No więc proszę.

Pan Gall oddał nuty mojej matce. Wzruszyła ramionami — że się wstydzi.

Zsunął swe siwe, długie włosy z jednej skroni na drugą i mruknął, że musi słuchać zdaleka. Uciekliśmy z Irzkiem pod fortepian, gdzie zawsze siedzieliśmy podczas każdej muzyki.

O, — teraz stopy mamy spoczęły na złotych pedałach. Stryj stał bokiem do fortepianu i oddychał wysoko, jakby mu się w piersiach waga kołysała tam i napowrót. Był zupełnie blady, tylko uszy mu się czerwieniły. Słuchał niemi ostrożnie ciszy salonu.

Nagle, — pedał ugiął się pod pantofelkiem, tuż nad naszemi głowami przez grube pudło wytryskać jęły małe tony, — niby krople, póki w nie nie wpłynął z cudownym szumem pełny strumień głosu mego stryja.

Sczepiliśmy się z Irzkiem rękami.

Stryj śpiewał:

Gdzie wiosłem obrócę,
Tam pali, tam pali się toń!

Nie chodziło o te słowa, ani o to, że pan Gall zaczął gryźć własny kułak, i że ojciec wstał, jakby przez kogoś niespodzianie zawołany, ani, że babka skuliła się na fotelu. Ale zaczęły się nam ukazywać

całe kraje obce, jakieś światy kolorowe i różne dobre, szlachetne uczynki.

Pieśń umilkła, stryj podszedł do fortepianu. Przewracali nuty razem z matką, poczem wypłynął znów śpiew, tak ogromny, że już nie mogliśmy wytrzymać. Pierwszy wylazł z ukrycia Irzek, za nim ja. Podeszliśmy na palcach, żeby być jak najbliżej. Ojciec wyciągnął do nas groźnie rękę, ale już było za późno. Przyłożyliśmy uszy do kamizelki stryja i prosto stąd słuchaliśmy, jak w nim szumi piękny, gorący oddech.

Nic na to nie powiedział. Nawet mu nie drgnęła blada, nieruchoma twarz — usta dalej śpiewały.

Patrzyliśmy na jego oczy z pod złotego łańcuszka kamizelki. W ostrem zwężeniu coraz odnajdywały daleką, gdzieś w pustce — gdzieś za czarnemi oknami salonu wynalezioną gwiazdę.

Skończyło się.

We drzwiach ukazał się Tomasz i Filipina. Zaczęła na cały głos błogosławić. Ojciec wypchnął ją za drzwi i tam nagle uściskał.

Żona pana Galla powiedziała:

— Trudno, — dostałam gęsiej skórki.

Na co stryj, starłszy pot ze skroni, — że to nic nie jest. Trzebaby jeszcze dodać gest, ruch, barwę, blask. Żeby *mogli* oczy wytrzeszczać. Oni — publiczność.

Postanowiono tego samego wieczora, że wystąpi przed *nimi* w Krakowie. Pan Gall zostawił cały plik nut, a ojciec powiedział mamie o stryju, — wieczorem

w jadalni, — słyszeliśmy przecie na nasze własne uszy:

— Niech robi, co chce. Jemu wszystko wolno, ja się nie mogę oprzeć.

Słowa o opieraniu się powtarzały się coraz częściej. Prawie nie mieszkaliśmy w naszem mieszkaniu, tak dużo stryj ćwiczył. Ojciec prawie nie przyjmował chorych. Tomasz sam przyznał, że „teraz" nie wie, za co „ma pierwej łapać". My też nie wiedzieliśmy, czego się uczyć, bo ciągle trzeba było pomagać Karolowi. I niebardzo było gdzie się uczyć. Stryjenka zajęła całą dzieciarnię na haftowanie płaszczów koronacyjnych.

Ale ojciec stale odpowiadał mamie, — że nie może się oprzeć.

Nie dziwiliśmy się temu. My też, zobaczywszy nasze własne nazwisko pewnego pięknego ranka wylepione na murach, — nie mogliśmy się oprzeć. Koledzy pękali z zazdrości. Wróciwszy do domu, rzuciliśmy się stryjowi na szyję.

Wydął pogardliwie usta, — przecież to i tak będzie skandal, gdzież tu śpiewać i przed kim w takiej nędznej mieścinie?!

Baliśmy się „strasznie" teraz o nasz Kraków, choć ojciec ciągle dowodził stryjowi, że się miasto „nie poszkapi".

— Zobaczysz nabitą salę — kończył taką rozmowę.

Zastanawialiśmy się, w jaki sposób będzie sala nabita. Irzek sądził, że będą puszczać sztuczne ognie

na cześć stryja. Nie mówiliśmy o tem nikomu, bo i tak teraz ciągleśmy wszystkim przeszkadzali.

Jak ojcu chorzy. Zamiast czekać na nich popołudniu, brał nas ze sobą na spacer, a właściwie do teatru. Patrzyliśmy, jak czarny ogonek kupuje bilety i czy kupują „na stryja".

Na dzień przed koncertem ojciec sam stanął w ogonku, i cierpliwie, ze wszystkimi posuwał się do okienka. Kupił dużo niebieskich biletów i oznajmił stryjowi podczas podwieczorku:

— Mówiłem ci, że się miasto nie poszkapi. Czy już wiesz? Buda wyprzedana.

W dzień koncertu mieszkaliśmy u babki, na Karmelickiej ulicy. Stąd pojechaliśmy do teatru na koncert. Była masa ludzi wszędzie. Gucio powiedział nam, że gdy się jeszcze więcej zapełni, przyjadą strażacy i przywieszą ławki do żyrandola, wiszącego u stropu. I dopiero, gdy oświadczył, że w pośród tych ławek będzie nasza, szkolna z dzieciarni, uwierzyliśmy, że to nieprawda.

Ojciec „do ostatniej chwili" chodził w futrze po korytarzu. Różni ludzie ciągle go się o coś pytali. Za każdym razem odpowiadał im:

— Świetnie! Świetnie!

Zaterkotały dzwonki, uciszyło się zupełnie i wyszedł stryj, we fraku, z brylantowemi spinkami w gorsie. Brawo było niewielkie, choć my biliśmy z całych sił. Za stryjem szedł pan Gall.

Karol bawił się w kącie loży, — mówił, że widział to już tyle razy. Wtedy dopiero powiedział mi Irzek,

że nie będzie żadnych ogni sztucznych, tylko sam śpiew.

Śpiew trwał cały prawie wieczór, to stryj, to znów publiczność z brawami, jakby jakaś walka. Mimo że *ich* wcale nie widział, wpatrzony świetlistą szparą spojrzenia ponad żyrandol, w tę jakąś niedostrzegalną swoją gwiazdę.

Gdy skończył już wszystko, zerwała się burza oklasków. Ludzie wniebogłosy wykrzykiwali nasze nazwisko. Pan Gall rzucił się stryjowi w objęcia. Służący w granatowych frakach wnosili wieńce. W ogłuszającym hałasie pokazał mamie ojciec największy, laurowy i powiedział:

— Ten jest od nas.

Mama z wypiekami na twarzy ścisnęła ojca za rękę.

Dawno staliśmy na korytarzu, a huk ciągle jeszcze nie ustawał. Nie można już było dłużej czekać, obeszliśmy teatr od tyłu. Niebo czarne, gwieździste, wznosiło się wysoko nad grubemi gałęziami plant. W oświetlonym przedsionku czekało kilku panów w wytartych paletkach. Bardzo się niecierpliwili.

Ojciec nam wytłumaczył, że to są „recenzenci", którzy o wszystkiem, co się działo tego wieczora, napiszą jutro w gazetach. Odwrócili się od nas, — z głębi korytarza kroczył już nasz stryj. W rękach, drżących może jeszcze od śpiewu, niósł wieńce. Czerwone wstęgi wlokły się po podłodze.

Recenzenci zastąpili mu drogę. Nie wolno mu było mówić na powietrzu. Oddawszy do potrzymania

wieńce, ściskał tych panów za ręce. Potem wsiadł do powozu, zawołał na mego ojca i pojechali. Mama i stryjenka odwiozły nas na Karmelicką, więc nie wiem, co się działo w domu tego wieczora. Napewno była olbrzymia kolacja!

Co się potem działo od koncertu do wyjazdu stryja, niebardzo pamiętam. Jedno jest pewne, — że w parę dni po koncercie dostałem liszajów na brwiach. Mama mówiła, że to z pewnością od Ledi, ale mimo to, gdy stryj wyjeżdżał, płakałem serdecznie.

Stał we drzwiach z podróżną czapką w ręku. Stryjenka w atłasowej pierzynce dawno czekała w powozie, na dole. Stryj patrzył, czy ludzie, znosząc, nie potrącają zanadto tych kufrów, pełnych tylu wspaniałości. Bił po okuciach laską i mówił do ojca:

— Szkoda, żeś mnie nie słyszał w pełnym blasku.

Gdyśmy wrócili do pokoju, Tomasz wynosił na ramieniu dobrze podeschnięte wieńce laurowe do kuchni. Stryj zabrał tylko wstążki.

Mama stała w otwartych drzwiach, jakby niezmiernie zdziwiona. Ojciec zachmurzył się, machnął ręką, kazał mi się ubrać i poszedł ze mną do swego kolegi, doktora od liszajów.

Ten kolega doktór oświadczył, że dostałem od psa.

Więc od Ledi.

II

Trwały więcej, niż rok. Nikt się nie spodziewał, że będą tak uporczywe. Smarowało się je wielu roz-

maitemi maściami, które najczęściej pachniały cynamonem.

Z tego powodu przestano u nas dawać cynamon do legumin i nawet dziś w moim własnym domu cynamonu do legumin się nie dodaje.

Gdyby był stryj nie kopnął wtedy Ledi i gdyby mnie potem nie polizała, nie dostałbym tego paskudztwa. Mimo to przebaczyłem stryjowi wszystko.

Wszędzie go odbijali, jako króla, lub bohatera z mieczem. Pod spodem drukowano pochwały w różnych językach. Prócz naszego nazwiska, nie rozumieliśmy z tych artykułów ani jednego słowa. Ale ojciec czytał to wszystko głośno po herbacie z bardzo wielką radością.

Biada, jeżeli wtedy właśnie przyszedł jaki chory. Wtedy ojciec pytał się Tomasza, czy „jako taki" ma jeszcze prawo żyć?

Pisywali do siebie ze stryjem coraz częściej, i ojciec coraz częściej mawiał, że też mu się jeszcze coś „od świata" należy.

Zastanawiałem się, co się może człowiekowi należeć od świata i jak się o to kłócić?

Pewnego dnia po telegramie, który przyszedł rano, mama rzuciła przy śniadaniu półmisek z szynką na podłogę. Uznaliśmy niezwykłość tego wydarzenia. Tomasz cały dzień zamykał chorym drzwi przed nosem.

Mama wróciła z Karmelickiej zapłakana i całkiem poprostu, przy nas, powiedziała ojcu:

— Rób, jak chcesz, tak czy inaczej, zawsze będziemy razem.

Ojciec zbladł, poczem powiedział też poprostu i przy nas:

— Niema lepszej żony na świecie.

Posłał Tomasza po babkę. Długo siedzieli we troje przy kominku. Nasze papierowe łodzie płynęły po dywanie, a ojciec pokazywał mamie, niby coś w oddali, za Sukiennicami. Nawet białą, wąską szparką mrużył oczy, jak stryj.

Ale nie widzieliśmy nad ojcem miejsca wybranej gwiazdy, choć Irzek potem mówił, że może trochę widział.

Za parę dni „szaleliśmy z radości". Ojciec rzucał doktorstwo i stawał się dyrektorem teatru. „Umieraliśmy" też z tego powodu ze strachu. Na dyrektorstwo trzeba było pieniędzy. Nasze własne już poszły i nie wystarczyły. Nikt nie chciał pożyczyć, — wszyscy tylko rady dawali.

Wiedzieliśmy prawie zawsze dokąd ojciec idzie i kiedy będzie wracał. W skrytości ducha modliliśmy się do ludzi, u których w danej chwili był o pożyczkę. Żeby się zgodzili. Żeby już nareszcie dali te pieniądze.

Czekaliśmy go ukradkiem za firanką, w salonie. Gdy wracał z laską sztorcem postawioną w kieszeni,— wiedzieliśmy, że z niczem. Szedł wtedy ciężko, przykucając w kolanach.

— Dla kogo to wszystko? — pytała mama, gdy wróciwszy, stał w płaszczu przy morelowym fotelu.

— Dla nikogo, — odpowiedział, — dlatego, że ja też chcę żyć.

Aż pewnego wieczora wrócił dwukonną dorożką i pokazał podpisany weksel. Chyba całe życie pamiętać będę ten długi, żółty papierek, który w ręku ojca powiewał, niby sztandar jakiegoś olbrzymiego zwycięstwa.

Z synów doktora staliśmy się synami dyrektora teatru.

W swoim czasie odbyło się to „całkiem dosłownie". Wróciwszy z „dyrektorskiej" podróży, rano, po śniadaniu, kazał ojciec wyjść Tomaszowi do sieni i zadzwonić w charakterze chorego. Musieliśmy być przy tem wszyscy w przedpokoju.

Cóż miał Tomasz robić? Zadzwonił i jak mu kazano spytał w drzwiach, — czy zastałem pana konsyljarza?

Ojciec ukłonił mu się nisko i odpowiedział:

— Przepraszam pana dobrodzieja, ale pan doktór wyjechał i już nigdy nie wróci.

Wybuchnęliśmy śmiechem, Tomasz się zaczerwienił, ojciec dobył z pularesu papierek dwudziestokoronowy i wręczył go uniżenie „pacjentowi":

— Służę panu dobrodziejowi i bardzo przepraszam za zawód. Pan będzie łaskaw powiedzieć chorym pana konsyljarza, że każdemu chętnie zapłaci, byleby ich już tylko nigdy w życiu nie oglądać.

Ojciec ukłonił się i, objąwszy mamę przez pół, wszedł razem z nami do salonu. Miała łzy w oczach.

— Nie wiedziałam,— westchnęła z uśmiechem,— że było ci tak ciężko.

W ten sposób z synów doktora awansowaliśmy na synów pana dyrektora. Chodziliśmy do „naszego" teatru ukradkiem i otwarcie, ile się nam tylko „żywnie" podobało. Od czasu nowej sztuki pod tytułem „Popychadło", postanowiliśmy do wszystkich służących mówić „pani". Podczas wykładu o machinie Atwooda myślałem zawsze o Hamlecie. Już nie mówiąc o tem, jakbyśmy teraz mogli zaimponować Karolowi. Mimo wszystko przecież ojciec nasz pokonał stryja, bo jednak dyrektor jest „ponad" artystami.

Nasze spotkanie było coraz możliwsze. Telegrafowali do siebie coraz częściej.

— Będzie śpiewać u mnie! Czy ty sobie to możesz wyobrazić?!

Mama sobie to wyobrażała ślicznym równym uśmiechem, gdy nagle ojciec przyszedł z kancelarji, rzucił na stół depeszę i powiedział, że o spotkaniu niema już wcale mowy. — On mnie traktuje, — bił pięścią w telegram, — jak jakiegoś swego dyrektora. Rozumiesz? Po tem, co zaszło, nie znamy się, — nazawsze. Nie istnieje dla mnie. Trudno, straciłem brata. Ale zato nabrałem doświadczenia!

Jak miał stryj dla nas nie istnieć, kiedy tak głośno żył dalej dla świata. Zjawiał się ciągle w wielkich obcych ilustracjach z samsonowskiemi puklami na plecach, wpatrzony centkowaną fotograficznie źrenicą w swoją daleką gwiazdę. Jakże miał „przestać być",

gdy z wydrukowanego pod portretem artykułu okazało się, że jedzie do Ameryki, i to na długi czas.

Mimo wszystko „szaleliśmy z radości". Teraz już nietylko ziemia, kolej, hotele, mosty i rozmaite kraje, ale nawet morze musiało brać udział w sławie naszego nazwiska.

— Skoro już jedzie tak daleko w świat, — ojciec wzruszył ramionami i znów zaczął sypać telegramy. Trwało to dość długo, niby telegraficzny pojedynek na cyfry. Ciągle się umawiali o ilość i cenę występów.

— Niesłychane, niesłychane pieniądze, — powtarzał ojciec. — Dobrze, że warto, ale wkońcu, czy *oni* zechcą płacić tyle?

„Ich" — publiczności — nienawidziliśmy teraz z całego serca. Powinniby byli choćby całe miasto sprzedać i zapłacić.

Pojedynek ustał, ojciec powiedział, — niech będzie co chce, jest mi to wszystko jedno, — i na mieście pojawiły się ogromne afisze, jak wół, z nazwiskiem stryja.

Zajechali do hotelu, nie do nas.

— Już nie u nas. Co to, to nie, — orzekła cierpko mama.

Nazajutrz byli tylko na powitalnym obiedzie. Stryja, jako takiego, widzieliśmy przed tem w teatrze, na próbie.

Zmienił się, był jakby jeszcze większego wzrostu, bo utył. Teraz już naprawdę ruszał się, jak król. Wszyscy mu ustępowali z drogi, a właściwie sam wszystkich roztrącał. W półmroku czarnych dekoracyj

szedł naprzód, nie zważając na nikogo, niby szumiący słup cienia.

Na próbie nie śpiewał, ledwie dosłyszalnie zaznaczając melodje. Dopiero pod koniec w ostatnim akcie, ni z tego, ni z owego, gdy przyszło „opowiadanie" zaczął tak czystym i przecudnym głosem, — że mu z otwartych ust bił jak promień słońca.

Orkiestra przestała grać i zaczęła walić brawo. Niby się kłaniał, a jednak ruchem głowy jakby zaprzeczał, wsłuchany w czarną głębię widowni. Twarz jego, zlana grubym potem, wydała się nam smutną śmiertelnie.

Wtedy właśnie, na tej próbie, ukryci na galerji, postanowiliśmy urządzić stryjowi owację kwiatową, za nasze własne pieniądze, dotąd pilnie składane na rower.

Podczas powitalnego obiadu okazało się, że Karol nie wie już właściwie po jakiemu mówi. Zostało mu trochę polskich słów, ale przybyło tyle obcych, żeśmy go prawie wcale nie rozumieli. Powiedział nam w tajemnicy, że się ze swym ojcem nienawidzą, ale że jemu, Karolowi, jest to całkiem obojętne, — bo i tak wkońcu zawsze syn przetrwa ojca.

Chciałem mu opowiedzieć o liszajach od Ledi, ale oni wcale już nie pamiętali, że wogóle była u nich kiedyś. I tak ze wszystkiem, na każdym kroku. Przez cały czas mówiło się tylko o hotelach, pociągach i wygodnych połączeniach. Pod koniec obiadu ojciec odebrał telefon, — że „oni" poprostu szturmują kasę.

Stryj się uśmiechnął i zaraz zapomocą ślicznego

chrząknięcia popróbował złożonej w piersiach struny. Wydała dźwięk tak czysty, że mnie z Irzkiem przeszedł nagły dreszcz. Ale stryj nie był całkiem zadowolony. Zmrużywszy jedno oko, przysłuchiwał się ostrożnie i nieufnie.

Na kawę przyjechał profesor z Adą. Powiedziała, że też ma głos. Kazaliśmy jej chrząknąć dla sprawdzenia. Chrząknięcie było tak marne, że parsknęliśmy śmiechem. Chciała koniecznie śpiewać przed stryjem. Zgodził się, ale przez cały czas tego nieszczęsnego śpiewu rozmawiał z naszym ojcem o czem innem.

Pretensjonalny popis skończył się zwykłym „ordynarnym płaczem", płaczem Ady.

Wodzili się potem z ojcem we dwóch, po salonie, żeby wszystko zupełnie wyjaśnić. Uznaliśmy po tej rozmowie, że mimo, iż ojciec był dyrektorem, — nigdy stryja nie pokona.

Ojciec był tak przybity, że się nawet nie ucieszył naszemi przygotowaniami do owacji. Oddał nam nasze zaoszczędzone pieniądze, a mamie powiedział wieczorem:

— To trudno, między nim a mną coś pękło nazawsze, nie zrozumiemy się nigdy.

Okazało się to zwykłą nieprawdą odrazu podczas pierwszego występu.

Idzie pierwszy akt, ojciec siedzi z nami w loży, i raz po raz mówi do mamy: — Bój się Boga, słuchaj.

Po drugim akcie, gdy ze wszystkich balkonów gruchnęły kwiaty, krzyki, klaskanie i tupanie, zrywa się i powiada:

— Chodźcie, chłopcy, do niego.

Byliśmy wtedy pierwszy raz w życiu za kulisami. Dotąd pamiętam pustą, kwadratową przestrzeń, dzieloną płótnem dekoracyj, dziurkowaną u góry i od dołu główkami lampek elektrycznych.

W garderobie uderzył nas widok całkiem nieoczekiwany. Wydało się nam w pierwszej chwili, że między stosami wieńców i kwiatów stryj, w srebrnej zbroi, płacze.

Tymczasem wtedy jeszcze nie płakał. Siedział tylko przed lustrem i, pochylony, dyszał. Wielką mocą swych zapewne ogromnych płuc dyszał na zakurzoną podłogę tak mocno, że długie włosy peruki drżały jak na wietrze. Ze skroni spływał stryjowi pot i kapał widocznemi kroplami. Tworzyły się od tego na czole i policzkach grube brózdy, któremi jakby ściekać zaczynała wdół cała twarz. Żyły rozdęte na szyi pomieszały się z koleiną roztopionej szminki.

Nie zwrócił na nas żadnej uwagi. Zdaleka ciągle słychać było szum brawa.

Spostrzegłszy nas nareszcie, podniósł do góry umazaną twarz i, szarpiąc na sobie srebrne łuski zbroi, wykrzyknął:

— Co za błazeństwo! Wiecznie, zawsze w tych szmatach, świecidłach! Już nie mogę!

Zdarł z głowy perukę i, wsparty na frakowej klapie mego ojca, rozpłakał się jak dziecko.

Wyszliśmy na korytarz. Ada powtarzała: — Dobrze mu tak, dobrze mu tak, kiedy ja śpiewałam, rozmawiał. — Powiedzieliśmy jej, żeby nie podnosiła ła-

py, kiedy kują konia, na co ona, że ją to nic nie obchodzi i że gdy stryj będzie wyjeżdżać do Ameryki, już na dobre, — wcale go nie odprowadzi. I nie odprowadziła. My, naturalnie, byliśmy do końca.

Powóz czekał przed hotelową bramą, za nim wielka platforma na skrzynie. Było ich kilkanaście. Aż ludzie przystawali na ulicy. Padał drobny śnieg. Stryj we wspaniałem futrze dreptał z miejsca na miejsce i patrzył jak służba ładuje kufry na platformę. Stryjenka w atłasowej pierzynce czekała cierpliwie w powozie.

Karol „żarł" cukierki. Za każdym razem otwierał okrągłe pudełko i wpychał sobie do ust po pięć, dziesięć czekoladek.

— No, jazda, teraz tę ostatnią, — stryj kopnął wielką skrzynię, wzruszył ramionami, rzekł do ojca,— błazeństwo! — i zapatrzony, jakby w gwiazdę wybraną, wyżej hotelowego dachu na szarem, chmurnem niebie, — pojechał.

Nie widzieliśmy się od tego czasu, — aż po wielu, wielu latach, gdym wracał do rodzinnego miasta z dalekich na świecie zarobków. Któż sobie zdoła wyobrazić mą radość! Idę z małym kuferkiem od stacji i nagle!

Widzę na murach znowu nasze nazwisko: — „Jutro wielki koncert znakomitego śpiewaka".

Poleciałem do kasy, — w ogonku nie było nikogo. Kasjerka najspokojniej w świecie dała mi za niedrogie pieniądze bardzo wygodny bilet. Wybrałem się wcze-

śnie do teatru. Nie było żadnych tłumów, „oni" schodzili się powoli, po dwoje, po troje, czworo.

Mój Boże, — bez żadnego pośpiechu. Publiczności się zeszło najwyżej tyle, — żeby nie było za wielkiego wstydu.

Stryj „zjawił się" w tych samych brylantowych spinkach. Stanął przy fortepianie, ciężki, ogromny, skinął majestatycznie chudziutkiemu akompanjatorowi, wzniósł głowę ku pustym mrokom sali i jął śpiewać. Twarz mu coraz zachodziła sinym, gęstym fioletem. Nie wiosłował wcale rękami, nie rzucał nagłych promieni swego wielkiego głosu, — bo mu go już w piersiach nie stało. Ale „zato" każde słowo rzeźbił, każde podawał pustej sali, jakby tam, gdzieś w mroku, czekało na te słowa zbawienie utracone.

Gdy skończył, służący w granatowej liberji podał mu jeden wielki, ciężki laurowy wieniec.

Nie mogąc się oprzeć starym wspomnieniom, odwiedziłem stryja nazajutrz w jego willi. Wchodziło się przez przedpokój wysłany dywanami; dalej pełno było wszędzie portretów, darów, złotych i srebrnych lir, haftowanych napisów.

Właśnie pracowali — razem z Adą. Była to już dorosła panna. Stryj, nie podnosząc się nawet na moje przywitanie:

— Byłeś wczoraj, — krzyknął radośnie, — słyszałeś? Koncert na nacinanych nogach. Mam wodę.— Wskazał dumnie koc, którym były okryte.

Przez ten czas Ada, niby osoba, która to samo słyszy już po raz czterdziesty, patrzyła z unudzeniem na

ściany, obite od góry do dołu wstęgami. Różnokolorowe napisy ciągnęły się przez spłowiałą morę, jak kręte żyłki w marmurze.

Stryj przesunął w piersiach głos, — ale nie był to już złoty kamień... — Jakby mu się tam piach z miejsca na miejsce przesypywał.

— Więc słyszałeś. A ci durnie, — tu cisnął na dywan kupę gazet,— piszą, że nie mam czem śpiewać!! Żaden z tych niedołęgów nie rozumie, że głos, że blask bez duszy... Wkońcu chodzi przecież tylko o tę trochę duszy.

Zgodziłem się na to warunkowo, — bo przecież nawet wczoraj, mimo że to był pierwszy dzień francuskiej walki w cyrku, — publiczność, czyli „oni", dopisali i ocenili stryja. Są ludzie, którzy rozumieją sztukę. Najlepszym tego dowodem chociażby ten wspaniały wieniec, który stryj wczoraj otrzymał.

— Wieniec?! — Śpiewak uniósł się ciężko na wezgłowiu. — Wieniec ten przysłałem sobie sam. Rozumiesz? Czy ty to rozumiesz?!

Machnął ręką i kazał jeszcze raz Adzie powtórzyć pieśń, której się uczyła na wyrobienie oddechu.

— Zobaczysz, co za głos. Ma, — ma, — no, ale co z tego?!

Usiadłszy do fortepianu, zaczęła od początku równem, prześlicznem światłem ogromnego sopranu:

Och, gdybym mogła powrócić
do czasów pierwszego dzieciństwa.

Stryj oddychał wraz z nią, szeroko i wyniośle, w oczach mu spłonęła daleka, wielka gwiazda.

Przerwali.

— To coby stryj zrobił, gdyby można było zawrócić? — spytałem niespodzianie.

Popatrzył na mnie uważnie, wyciągnął się, i długo, długo słuchał ciszy pokoju. Wkoło ust zjawiły mu się fioletowe cienie.

Ada obcasem lekko pukała w podłogę.

— Gdyby można było wrócić? — powtórzył.

Na twarzy rozprzędła mu się noc, oczy zgasły nagle.

— Tobym, — rzekł opieszale, piaszczystem brzmieniem złotej ongiś struny, — tobym całe życie leżał cicho na trawie. Rozumiesz?

Wyciągnął ręce w powietrze. Po chwili opadły. I wtedy, pierwszy raz od czasu, kiedyśmy się poznali, zobaczyłem, jak mu w otwartych źrenicach znikła wybrana gwiazda, a zabłysły dwie ciężkie, pełne łzy.

Pamięci mego stryja
Aleksandra

ZAKOŃCZENIE

(Czyli, — co będzie dalej?)

Po tem wszystkiem, co się tu opowiedziało, musi przyjść nareszcie miejsce u dołu stronicy, na którem autor stawia słowo: — KONIEC. Ja jednak słowa tego bynajmniej na tem miejscu nie kładę. Uważam, że książka, którą trzymasz w rękach, czytelniku, wcale jeszcze nie jest skończona.

Jakto?

Naturalnie!

Zostało przecie całe mnóstwo spraw do wyjaśnienia, do wytłumaczenia, do obgadania.

Wspomniałem w „Tajemniczym Przyjacielu" o pewnej ciotce i o tacy, — „które potem będą potrzebne". O tacy już wszystko było, co miało być, a o ciotce? — Nic.

Wspomniałem o Tomaszu, który odegrał dużą rolę w jednym ważnym wypadku mego życia. Rola Tomasza opowiedziana jest w „Skarbonce". Tymczasem

okazuje się, że potem, jeszcze raz, kiedyś indziej odegrał jeszcze ważniejszą rolę i to w o wiele ważniejszym wypadku.

Więc jakże? Więc o tym ważniejszym wypadku ma się nikt nie dowiedzieć?!

Dalej: — Wszyscy już pamiętają z tej książki, że ojciec mój rzucił doktorstwo i został dyrektorem teatru. Rzecz ta stała się wiadomą z opowiadania pod tytułem „Sława".

Doskonale! Ale w traktacie naukowym pod tytułem „Szkoła" autor wspomina w odnośnym przykładzie pod tytułem „Żyd", że „mieliśmy wtedy powóz i konie". Proszę tę drobną, na pierwszy rzut oka niepozorną wzmiankę zestawić z dyrektorstwem. Między dyrektorstwem a końmi zachodził bardzo ważny związek, z którego wynikły później nader zawiłe historje.

Teraz po słowie KONIEC — musiałoby to wszystko już bezpowrotnie zaginąć.

Idźmy dalej:

W opowiadaniach moich, rozprawach i traktatach występuje postać, która na pierwsze wejrzenie jest drugorzędną. Myślę naturalnie o Guciu.

Gucio ma rękawiczki, Gucio w zaprasowanych spodniach skoczył do wody, — Gucio powiedział, — „historja funta kłaków nie warta", — Gucio miał laseczkę, — Gucio krzyknął, — „zgubisz". Gucio to, Gucio owo, dziesiąte i dwudzieste.

W to im graj!

Gucio jest postacią drugorzędną, służącą, — powiedzą uczeni krytycy, — do ożywienia obrazu.

Jak autor wywołuje ożywienie?

Zapomocą Gucia.

Jak autor wywołuje humor?

Zapomocą Gucia.

I tak chcecie się rozstać z tym moim miłym Guciem. Tymczasem było, stało się i działo całkiem inaczej. Nie tu, w tej książce, a parę lat później.

Inaczej mówiąc, Gucio ma nam przepaść, mimo, że potem w życiu stał się najdziwniejszą w świecie postacią. Bo przecież to nie byle co, żeby być, naprzykład, drzewem przez piorun strzaskanem i żeby mimo to dawać cień, radość i otuchę innym.

Nie traćmy równowagi, — idźmy jeszcze dalej. Chodzi nam o rzecz małą, niepozorną niby, a jednak bardzo ważną, bo nam chodzi o prawdę.

Ciągle mówię o rodzicach. Z tego, co mówię, wynika, że prócz kilku wyjątków (sprawa z tacą, uderzenie Sontaga, sprawa Bieniarza i Kastalski) byłem bardzo dobrym synem.

Tymczasem możnaby się dowiedzieć z różnych późniejszych wypadków, że wcale znów zawsze takim nadzwyczajnym wzorusiem nie byłem.

Na wszystko, co człowiek robi, znajdują się świadkowie. Niewiadomo, skąd się biorą, kto ich podsuwa i czy tymi świadkami są ludzie, czy rzeczy, przedmioty czy zwierzęta, ptaki czy drzewa — dość na tem, że ci świadkowie zawsze są, i wcześniej czy później, zawsze prawdę mogą odsłonić.

Rzecz okropna: — Gdy ktoś inny prawdę za nas

mówi, a nie my sami o sobie, to przecie, jakby w nas dusza gasła, jakbyśmy nie żyli.

Nie byłem zawsze wzorusiem, — sprawy te powinny wyjść na światło dzienne.

Kto ma je wyznać?

Ja sam, śmiało i otwarcie.

Gdzie?

W następnej książce.

Poza tem wszystkiem zostało jeszcze kilka utajonych szczegółów. Dlaczego się utaiły, nie wiem, — ale się utaiły. Należy do nich historja „O nożu" i ogromnie smutny wypadek, jaki nas spotkał za miastem, na Panieńskich Skałach, — z kukułką.

Z powyższego wynika, że rzeczy tu zaczęte nie są skończone, że trzeba w obranym kierunku iść dalej i rzeczywiście napisać drugą książkę, która będzie dalszym ciągiem tej.

Sądzisz może, czytelniku, że w takim razie wyprowadzono cię w pole? Że ci dano rzecz niedokończoną?!

Nie wyprowadzono cię w pole, — bo jak z tą książką, jest ze wszystkiem na świecie. Nic się tu nie kończy, z jednego drugie wyrasta i ledwieś pomyślał, że zima nastała, gdy już wiosna kwiatami z pod białych śniegów wyglądać zaczyna. Całe szczęście, — szczęście, od którego radość drży w mojem sercu na zawsze, — że niczego dokończyć nie możemy.

Prawdy też do dna wypowiedzieć się nie da. Ale jeżeliś myślał, że w MIEŚCIE MOJEJ MATKI mogłem był coś zataić, toś się znacznie pomylił.

Wrócimy tu jeszcze, wrócimy, ulicami temi chodzić będziemy. Ulicami będziemy chodzić, po ogrodach biegać i z balkonów patrzeć na wieże.

Opuścimy to miasto nie wcześniej aż wtedy, gdy mi położysz rękę na ramieniu i gdy mi powiesz, — że gdybyś swojej nie miał, tobyś moją matkę kochał, jak własną.



SPIS RZECZY